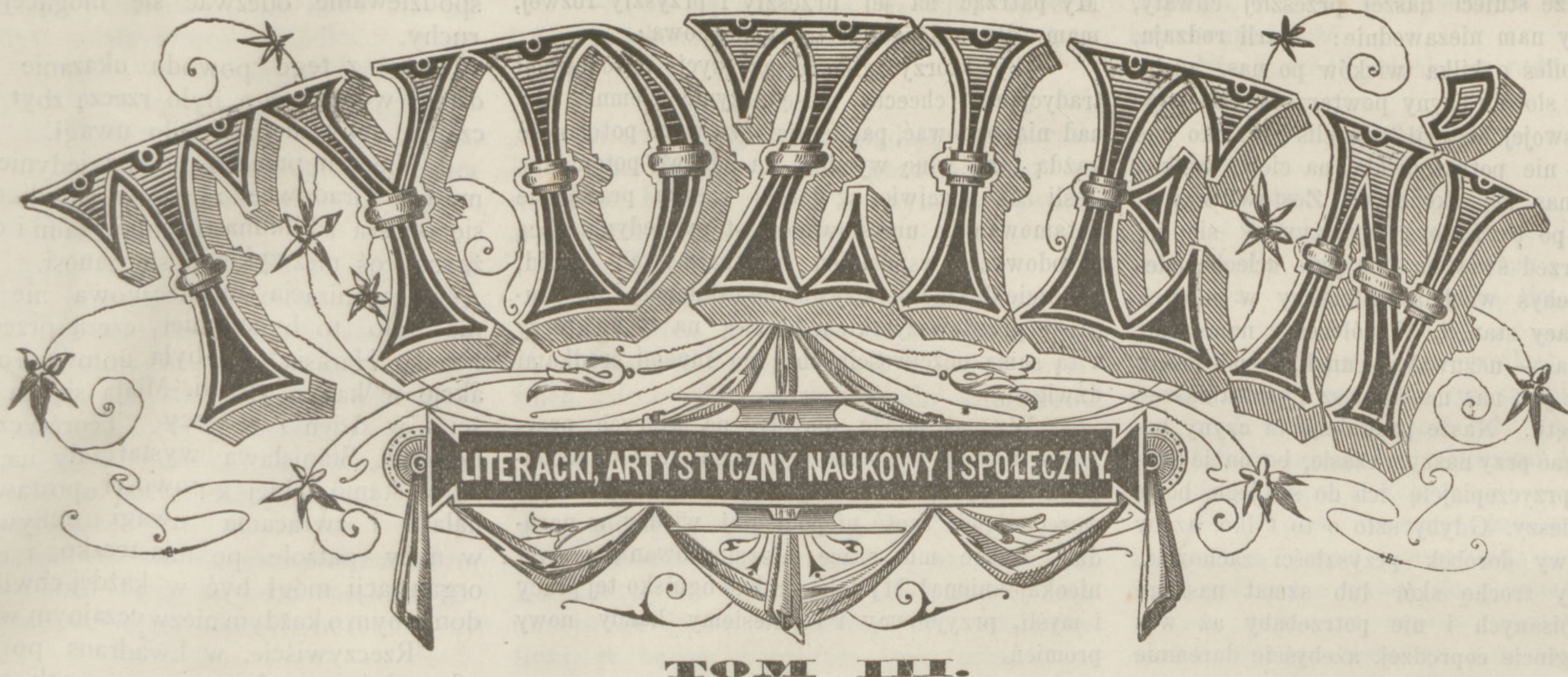
Nr. 6. Lwów, Niedziela dnia 6. Lutego 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VI.

Nowe pokolenie.

Myliłby się ktoś sądząc, że najświeższa rewolucja polska skończyła się z ostatnim strzałem powstańczego karabina i ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem tajemnego sprzysiężenia. Bynajmniej. Ogień rozniecony w jednym kierunku udzielił się wszystkim innym, gdzie tylko materjały palne dla siebie znajdował, — niespodziewanie wybuchł tam, gdzie go świadomie niczyja ręka nie podkładała. Już odgłos wojennej wrzawy w Królestwie polskiem przycichł, już jęki męczenników w podziemiach rossyjskich cytadel przygłuchły, już nawet echa skargi pędzonych w Sybir przestały nas dolatywać, gdy nagle w wyniszczonem, konającem życiu narodu odezwał się tak silny głos nowych pragnień, że istotnie mógł zdumieć zarówno jednych, którzy temu narodowi ciosali już trumnę, jak drugich, którzy nieukojeni płakali nad jego bliskim zgonem. Pół-trup dopiero co z krzyża zdjęty, poraniony, zbity, obezwładniony, dający jedynie znaki życia resztkami coraz bardziej rwącego się, słabnącego oddechu, nagle się zerwał, przemówił, i przemówił tak potężnie, jak gdyby mu świeże tortury ani jednej siły nie wydarły. I rzecz może w całym tym fakcie naddziwniejsza, ów półtrup, którego zgniotła rewolucja, dźwignął się po to tylko, aby co prędzej zapowiedzieć... walkę.

Jaką walkę? gdzie? We własnem łonie.

Zużyto już porównania politycznych i społecznych wybuchów do burz i huraganów, po których wszystko bujniej odrasta, ale nie zużyto tkwiącej w nich prawdy. Wszystkie tego rodzaju zjawiska jeśli nie były przyczynami, to w każdym razie poprzednikami wielkich i pamiętnych w historji odrodzeń. Toż samo zaś dziejowe prawo, które włada wszędzie, nie dało się pogwałcić żadnym przeszkodom i u nas. Rewolucja styczniowa chociaż była tylko powstaniem narodu przeciwko obcemu uciskowi, i w rezultacie zakończyła się zwycięstwem ucisku, nie umarła dla przyszłości bez potomnie, nie zostawiła jej horyzontu obciągniętego jedynie czarnemi chmurami, przez które żaden promień nadziei przebić się nie miał. Przeciwnie, zdarła z niej wiele groźnych przesłon, i ukazała każdemu czystemu oku jaśniejsze, szczęśliwsze widoki. Widoki te leżały w kierunku ekonomicznej i umysłowej pracy narodu. Wtedy gdy starsze pokolenie zadumawszy się rozpaczliwie na zgliszczach i cmentarzach swego kraju, nie widziało żadnego określonego ratunku, i samą nadzieję uważało za szaloną śmiałość, młodsze, do którego przyszłość właściwie należała i które silniej czuło w sobie jej tętna, rzuciło się odważnie do zapasów na innych polach, zebrało gruzy ruiny i zaczęło z nich budować gmach narodowego szczęścia. Sam ten rzut był ruchem rewolucyjnym, w którym tylko siła prądu politycznego przemieniła się w umysłową. Rewolucyjnym zaś był z jednej strony dla tego, że czynem protestował przeciwko tryumfowi zwycięskiego bagneta, a grabarzom zawczasu kopiącym dół dla naszego istnienia odpowiadał pragnieniem i nadzieją długiego życia, z drugiej — że porzuciwszy drogi dawne, na których rozwarły się fatalne przepaście, wskazywał, torował nowe. Otwarty bój z nieprzyjacielem zduszony zastygł w spokojną nienawiść i jego proces się zawiesił; natomiast rozpoczęło się inne starcie — w łonie samego narodu. Przegraliśmy — zawołało nowe pokolenie podnosząc upokorzony sztandar swojego kraju, jeśli wszakże mamy ocaleć, musimy zmienić drogi naszego życia. Ludy uciśnione są silniej od wolnych przywiązane do swojej ziemi i narodowości: w naszej naturze spoczywa głębokie źródło tej miłości, możemy więc być spokojni, że ono nie wyschnie. Z pod każdego nowego uderzenia złej doli tryśnie coraz obfitszy strumień tego uczucia. Z tej więc strony jesteśmy bezpieczni. Ale czy to nas zabezpieczy z drugiej? Czy to bez pomocy innych potęg uchroni nas od zagłady? Nie dość starać się o to, ażebyśmy do końca naszego istnienia zostali Polakami, lecz ażebyśmy upewnili sobie istnienie. Chwała to bez wątpienia nie wyprzeć się swej wiary przed paszczą grożącego rozdarciem w prześladowczym cyrku tygrysa, ale rozum — nie dać mu się rozdrzeć. Cóż z tego, że zginiemy z godłami swej narodowości na ustach, kiedy zginiemy! Nie może nam chodzić jedynie o to, jakimi być, lecz także, ażeby być.

A tego nam nie zaręczy marzycielstwo ze spojrzeniem po za siebie zwróconem. W ten sposób możemy tylko roskosznie śnić, ale rojenia tego snu nie zmienią rzeczywistości ani o jedno zawahanie się naszych przeznaczeń. Poczekajmy a przyjdzie niedługo czas, w którym niespodzianie drapieżna ręka złapie nas w tem marzeniu i niezdolnych obronić się — zadusi. Cóż nam więc pozostaje? Pójść za przykładem narodów, które w najuciąźliwszej walce o byt potrafiły się utrzymać, musimy uczyć się i pracować. Była chwila w historji, żeśmy stali oświatą nietylko na równi, ale nawet przed innymi. Gdzie stoimy dziś? Z zacofanej pozycji ledwie dojrzeć możemy daleko przed nas wybiegłe ludy. Materjalnie ubodzy, umysłowo ciemni nie zwracamy już uwagi, a wkrótce nadejdzie pora, w której nasze istnienie dziwić będzie Europę, gdy się o niem przypadkowo dowie. I nie będziemy mieli nawet prawa jej za to oskarżać. Rozdymaliśmy naszą niedorzeczną butę, kiedy inni wywalczali sobie byt w skromnym i cichym mozole, gardziliśmy pracą, kiedy inni uczynili ją zadaniem swego życia, wyklinaliśmy naukę, kiedy inni ją czcili, okopywaliśmy się w przesądach, kiedy inni otwierali sobie jak najszersze horyzonty, zamykaliśmy się w swej ciasnej muszli, kiedy inni wypływali na rozległe przestworza, cóż dziwnego, że my biedni i bezsilni a oni bogaci i potężni, że wtedy, gdy się im przypominamy, oni nas znać nie chcą?

Świadomie czy nieświadomie zerwaliśmy wszystkie niemal węzły wspólności z cywilizowanym światem, jesteśmy dla niego za obcy, za nędzni, za mało wykształceni, ażeby on miał jakikolwiek interes do nas się przyznać i łączyć. Nie pocieszajmy się nawet złudzeniem, że tę stratę wynagradzają nam w mogiłach ojcowie swą miłością za to, żeśmy ich myśli i uczucia wiernie przechowali.

Gdyby dziś wstało z grobu pokolenie któ-

regokolwiek ze stuleci naszej przeszłej chwały, powiedziałoby nam niezawodnie: Karli rodzaju, na to wystąpiłeś o kilka wieków po nas, ażeby małpio nasze słowa i czyny powtarzać? Cóż własnego dałeś swojej historji? Jeżeliś jej tylko nas przypominał, nie potrzebowała na ciebie czekać i mogła na nas się skończyć. Zostawiliśmy ci tradycję nie po to, ażebyś wyuczywszy się jej na pamięć przed światem i na jego uciechę odegrał, lecz ażebyś wiedział gdzieśmy w naszych myślach i pracy stanęli. Współczesny nam świat patrząc na nas — uczuwał szacunek, współczesny tobie patrząc jak nas naśladujesz i podrabiasz— doznaje wstrętu. Nasze pragnienia i czyny powinne pozostać przy naszym czasie, bo on je szanował, nie przyczepiajcie ich do swojego, bo je słusznie ośmieszy. Gdyby szło o to tylko, ażeby nasz umysłowy dorobek przyszłości zachować, wystarczyłoby trochę skór lub szmat naszemi dziejami zapisanych i nie potrzebaby aż was stwarzać. Zgincie coprędzej, ażebyście daremnie dziejów nie obezpładniali...

Taka groźba zdaje się brzmieć dla nas z przeszłości. Pod jej natchnieniem, pod natchnieniem idei, które z nowszych czasów do naszej piersi się wcisnęły, rzućmy się gwałtownym skokiem za narodami, które nam swem szczęściem drogę przykładu znaczą, pijmy z każdego nowo odkrytego źródła cywilizacji, pracujmy niezmordowanie we wszystkich kierunkach, słuchajmy i korzmy się przed każdem słowem wiedzy — a wtedy wywalczymy sobie rację bytu wśród narodów cywilizowanych, której dziś nie mamy.

Taki program wygłosiło nowe pokolenie, które po rewolucji styczniowej zajęło głos w obradach nad losami kraju. Rozumie się jego wystąpienie objawiło się w granicach pola tej rewolucji, t. j. w Królestwie, i ukryć się musiało pod lękliwą formą strzeżonego cenzurą słowa, było jednak na tyle silnem i wyraźnem, że wkrótce udzieliło się całemu krajowi i przeszło po za jego kordon. Gdy zwolna nowy prąd się wzmógł, i stworzył sobie zwłaszcza w literaturze, własne organa, odrazu ujawnił się jego rewolucyjny nastrój. Żywioły bowiem niezdolne podążyć za gwałtownym i szybkim ruchem umysłów młodych, mimowolnie zsolidaryzowały się z ciemnotą, przegniłym obskurantyzmem, fanatyczną religijną nietolerancją i stanęły oporem. Mimo to wszystko wybuch zrobił i robi swoje, porwał i porywa nietylko elementa mu pokrewne, ale nawet te, które wierność konserwatywnym chorągwiom ciągle przysięgają. Że cały ten proces, jeśli nie przyniósł jeszcze narodowi wielkich i widzialnych korzyści, to w każdym razie wlał weń mnóstwo nieocenionych i żywotnych pobudek, dowodem olbrzymi postęp Królestwa i jego umysłowa wyższość nad innemi dzielnicami Polski, a przedewszystkiem nad Galicją. Tej niestety dostała się najsmutniejsza rola. Żywioł próżniaczy i ciemny, pokalany przesądami założył w niej kuźnię, gdzie fanatyzm wyrabia kosy dla swej bezmyślnej rzeszy mającej walczyć z postępowcami. Zwyczajem nieznanym już dziś w cywilizacji ogłoszono wielkich myślicieli za zbrodniarzy, a polskich apostołów niepodległej wiedzy za zdrajców kraju. Ci ostatni uwięzieni zwykle w warunkach, gdzie bronić się w imię szczęścia narodu nie wolno, musieli i muszą milczeniem odpowiadać na te niegodne napaści, o których nawet nie zawsze wiedzą. Ile razy wszakże warunki umożliwiły walkę, zapalała się ona gwałtownie. My patrząc na jej przeszły i przyszły rozwój, mamy dla walczących te tylko słowa:

Wy, którzy tylko frymarczycie narodowemi tradycjami i chcecie masę uczynić ciemną, aby nad nią panować, pamiętajcie, że wam potomność każdą taką winę wymieni na surowe potępienie. Jeśli zaś uczciwie, w dobrej wierze pragniecie zatamowaniem umysłowego postępu, jedynie mocą narodowych wspomnień podtrzymywać naród, obliczcie dokładnie, czy go nie osłabiacie i nie rzucajcie przedewszystkiem klątwą na tych, którzy z tą samą uczciwością chcą go innemi środkami dźwigać.

Wy zaś młode umysły, na których przyszłość narodu spocznie, gardźcie śmiało wszelkiem potępieniem fanatyzmu, czcijcie i rozpowszechniajcie cześć niepodległej wiedzy w narodzie, dajcie mu pracę niezmordowaną i myśl nieokajdanioną! My jako drobne ognisko tej pracy i myśli, przyjmiemy i rozniesiemy każdy nowy promień.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

VII.

Mortko był posłuszny, zaprowadził obu do jednego z gościnnych pokoi. Oficer kazał mu odejść.

Co z sobą rozmawiali i jak się odbyła rewizja nie wiadomo.

Po kwadransie oficer kazał dać wódki dla siebie, Rafała i żołnierzy, poczem powiedziawszy Mortkowi, że tego człowieka jako silnie podejrzanego z sobą zabiera, odjechał wraz z nim do Gradowiec.

Poczciwy Mortko rzeczywiście widział coś podejrzanego w tem wszystkiem, a najbardziej w tem, że się oficer przed nim z aresztowania tłumaczył, jak gdyby to czynić potrzebował, zaniepokoił się więc i nie mógł spać tej nocy, ale pomimo że długo sobie głowę łamał nad znaczeniem całej tej sceny, nie mógł sam przed sobą zdać sprawy czego się właściwie lękał.

Było to tylko jakieś nieokreślone przeczucie, ale jak się pokazało niemylne.

Wyprawa oficera żandarmerji z konwojem i aresztowanym niby, a właściwie towarzyszącym mu tylko Rafałem Fajskim, przybyła do Gradowiec w chwili, gdy miasteczko już na dobrze zabierało się do snu.

Gdzieniegdzie tylko w oknach domów pobłyskiwały jeszcze słabe światełka.

Ukazanie się przecież oddziałku wojskowego nie pozostało i nie mogło pozostać niepostrzeżonem.

W Gradowcach, jak w ogóle w mniejszych miasteczkach, częstokroć nie bywało załogi wojskowej, a tembardziej być jej nie mogło w owym czasie, kiedy możebność wybuchu nakazywała dowódcom wojskowym koncentrować słabe siły, jakiemi rozporządzać mogli w gubernji, a nie rozdzielać ich i wystawiać na łup pierwszej lepszej niespodziewanie odezwać się mogącej zawieruchy.

Już z tego powodu ukazanie się oddziału wojskowego było rzeczą zbyt niezwyczajną, żeby nie zwróciło uwagi.

Nie ten przecież powód jedynie zaalarmował Gradowce zaraz w chwili ukazania się oficera z kilkunastu żołnierzami i ostrzegł, że na coś niezwykłego się zanosi.

Organizacja miasteczkowa nie spała i nie było to bynajmniej czczą przechwałką Franka Harasia, że była gotową rozpocząć akcję w każdej chwili. Miała się na baczności i w dzień i w nocy. Teoretyczne wiadomości Stanisława wystarczały na to, aby ją w stanie takiej gotowości postawić. Bez hałasu i zwracania uwagi odbywały się w nocy patrole po miasteczku, i naczelnik organizacji mógł być w każdej chwili zawiadomionym o każdym niezwyczajnym wypadku.

Rzeczywiście, w kwadrans po tem jak oficer i jego żołnierze zatrzymali się przed oberżą gradowiecką, położoną tuż przy gościńcu, arendowaną jak wiemy przez Mortka, a zarządzaną przez jednego z jego krewnych, już Franek Haraś, który tej nocy patrol odbywał, był u naczelnika z raportem, zawiadamiającym go dosyć szczegółowo o przyjściu niewielkiego oddziału wojska, o oficerze żandarmerji i o jakimś cywilnym człowieku, który tej ekspedycji towarzyszył.

Składaniu tego raportu była obecną Konstancja, a zrozumiawszy treść jego drgnęła, jakby jakiemś złowrogiem przeczuciem dotknięta.

Stanisław nie przeczuwał nic złego.

— Zapewne wypoczną chwilę i pójdą dalej, — rzekł do Franciszka.

— Nie zdaje mi się — odpowiedział robotnik, — zakręciłem się sam koło nich w oberży, wszystko to jakoś wygląda jak gdyby iść nie mieli. Dokądże by zresztą i dla czego po nocy?...

— To prawda — odpowiedział improwizowany dowódca, nie mogąc sobie zdać sprawy ze znaczenia tej nocnej ekspedycji.

— Zagadałem do jednego z żołnierzy, — raportował dalej Franek Haraś, — bąknął coś, że może dzisiaj jeszcze do Kamieńca nazad wyruszą.

Konstancja przytuliła się do męża. Stanisław uczuł że drżała jak listek.

— Co ci jest dziecko? — rzekł do niej.

— Nic — odpowiedziała — boję się!

Mąż przytulił ją do siebie, starając się uspokoić, a po chwili, zwracając się do Franciszka, rzekł:

— Cobądźby się stało, zachować się spokojnie... gdyby zaszło coś ważniejszego, donieść.

Franek salutując po wojskowemu wyszedł; mąż z żoną pozostali sami.

Stanisław spojrzał na Konstancję i zobaczył twarz jej łzami zalaną.

— Ty płaczesz?...

— Tak... — odrzekła, ale po chwili otrząsnęła się ze słabości chwilowej i twarz jej przybrała wyraz energicznego i stanowczego postanowienia.

— Sądzisz więc, że to po mnie?.., — rzekł Stanisław z uśmiechem, próbując łagodną perswazją uspokoić obawy ukochanej.

— Nietylko sądzę, ale jestem pewna —

odpowiedziała pospiesznie; tak samo biło mi serce, gdym miała utracić dziadka... wiem teraz co ten głos wewnętrzny znaczy...

— Ależ Konstancjo, nie lękaj się...

— Nie lękam się już... to przeszło... nie pora teraz na próżne trwogi... nastąpiła chwila działania... ukryj się, albo uciekaj!

— Dzieciństwo!

— Ukryj się albo uciekaj!... Nie wiem czy ci Bóg pozwoli wyjść cało z tej walki, ale wiem, że nie czas jeszcze ażebyś się dostał w ich ręce, roztropność każe ci się zabezpieczyć... wszystko coś zrobił dotąd byłoby stracone, gdyby ciebie zabrakło. Ukryj się więc albo uciekaj, ja cię zaklinam!

Mówiąc to pochwyciła jego rękę i poniosła ją do ust.

Któż policzy w ilu domach na całym obszarze Polski zajętym przez moskala powtarzały się w owych czasach nocami sceny podobne!

Zaklęcie żony nie było dostatecznem, ażeby zachwiać Stanisława.

— Konstancjo, — rzekł — uspokój się i zastanów. Nie byłożby to szaleństwem, nie byłożby najgorszym przykładem dla tych ludzi, którzy mi ufają, uciekać na pierwszy popłoch, nieuzasadniony może i niedorzeczny? Choćby nawet tutaj przyszli, cóż znajdą? Działaliśmy z taką przezornością, na jaką tylko człowiek zdobyć się może. Z wyjątkiem prostej zdrady, której nie mogę się obawiać od nikogo, bo znam swych ludzi, nie będą mieli przeciw mnie najmniejszego dowodu, nawet cienia pozoru do aresztowania. Zresztą cobądź się stanie winienem wytrwać. Rozpogódź czoło i niech twój niepokój nie będzie dla nich poszlaką i wskazówką.

— Jeżeli tylko od tego zależy twoje? ocalenie, żebym ja nie zdradziła obawy możesz być pewny, że będę panowała nad sobą. I woli swojej także narzucać ci nie będę, i milczeć każę przeczuciu, które mi mówi, że się stanie nieszczęście!...

Rzuciła mu się na szyję i namiętnie przycisnęła go do siebie, jakby go jej wydzierać chciano.

W tej chwili w sąsiednim pokoju dał się słyszeć gwar jakiś i ciężki chód kilku ludzi.

— Widzisz... to oni!... — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem Konstancja.

I rzeczywiście w kilka sekund potem otworzyły się drzwi, a na progu ukazał się oficer żandarmerji, po za którym przy świetle lampy widzieć można było po za drzwiami kilka twarzy i kilka bagnetów sołdackich.

Konstancji niktby nie poznał w tej chwili. Była spokojna, uśmiechnięta nawet, zdawało się że ta niespodziewana nocna wizyta, jedna z takich, za przyjściem których kobiety odchodziły od zmysłów, a mężczyznom krew ścinała się w żyłach, nie robiła na niej najmniejszego nieprzyjemnego wrażenia.

Oficer wszedł, ukłonił się po wojskowemu, był to człowiek obeznany z formami towarzyskiemi, i rzekł dość poprawną polszczyzną:

— Przepraszam, ze państwu przeszkadzam, ale służba wolność traci.

— Czegóż pan sobie życzy? — zapytał Stanisław.

— Pan się nazywasz Stanisław Wydra, i jesteś właścicielem tego domu, oraz garbarni?

— Tak jest.

Oficer skinął na zaglądającego ukradkiem do pokoju, ale pozostającego za drzwiami Rafała, i zadał mu pytanie, zawarte w jednym tylko wyrazie:

— Ten?

Rafał Fajski potakująco mrugnął oczyma.

Znak ten widocznie zrozumiałym był dla żandarma, bo nie szukał dalszych wyjaśnień, lecz zbliżywszy się do Stanisława rzekł:

— Z rozkazu władzy aresztuję pana, jako naczelnika organizacji buntowniczej w powiecie Kamienieckim.

Chociażby kto najpilniej śledził twarz Konstancji nie byłby na niej dostrzegł najmniejszego śladu przerażenia. Przyrzekła mężowi, że będzie panowała nad sobą i dotrzymała słowa, a Bogu tylko wiadomo ile walki wewnętrznej kosztowało ją to zwycięstwo.

Twarz jej wyrażała tylko najnaturalniejsze zdziwienie.

— Mój mąż? — rzekła prawie z uśmiechem — ależ to niepodobna... ja wiem o każdym jego kroku... to pomyłka!

— Być może, pani — odpowiedział grzecznie oficer — jeżeli to pomyłka, bardzo mi przykro, alem ja za to nieodpowiedzialny... Mąż pani wytłumaczy się przed komisją śledczą, ja spełniam rozkaz wyraźny. Zostawiam panu kwadrans czasu — dodał spoglądając na zegarek — na przygotowanie się do podróży, więcej nie mam prawa...

— Czy mogę wyjść z pokoju, aby zabrać co mi potrzeba? — zapytał Stanisław.

— Możesz pan... dom jest strzeżony...

Stanisław wyszedł, z nim Konstancja; oficer sam pozostał w pokoju, usiadł na krześle, lewą rękę oparł o stół, i czoło wsparł o rękę, tak że dłoń zasłoniła mu oczy.

Rafał Fajski zcicha wsunął się do pokoju. Sądził widać, że jego wejście zwróci uwagę oficera, po chwili jednak widząc, że oficer nie przerywa swojej zadumy, chrząknął.

I chrząknięcie zostało bezskutecznem.

Twarz pobożnego człowieka skurczyła się gniewem tłumionym.

— Panie poruczniku, — rzekł półgłosem.

Żandarm nie słyszał.

— Tego już zanadto — mruknął Fajski przez zęby.

I zbliżywszy się do oficera, pociągnął go z boku za rękaw.

Oficer się otrząsnął.

— Czego?...

— Panie poruczniku, przepraszam pokornie, ale...

— Ale co?...

— Aresztant tymczasem może poniszczyć dokumenta.

— Jakie dokumenta?

— Dowody winy.

— Więc cóż z tego?

— Trzeba było iść za nim i patrzeć.

— Idź ty i patrz... ja nie jestem szpiegiem.

Rafał Fajski spojrzał z podełba na mówiącego. Z oczu jego iskrzyła się zaledwie hamowana złość.

Nie poszedł jednak za radą porucznika i pozostał.

— Panie poruczniku, — zaczął znowu po chwili.

— Czego jeszcze?

— Tutaj trzeba zrobić rewizję.

— Ty mnie nie będziesz uczył czego tu trzeba. Robię to tylko do czego mam rozkaz.

— Ależ, panie poruczniku, tu są listy, tu są ważne papiery, tu są pieniądze, tu jest broń ukryta, tu jest cały arsenał.

Oficer powstał i wielkiemi krokami zaczął chodzić po pokoju.

Gdy Fajski skończył, żandarm wydobył z zanadrza papier i przykładając mu go do nosa, jakby go dawał do powąchania, rzekł:

— A tu jest rozkaz: aresztować człowieka, którego wskażesz i odstawić natychmiast do Kamieńca. O żadnej rewizji nie ma nic. Co nie jest napisane to mnie nie obowiązuje, mogłeś podać denuncjację szczegółową.

— Panie poruczniku, ja oszaleję!

— Możesz... każę cię oblać zimną wodą.

Rafał Fajski wrzał. Złość zaczynała brać nad nim górę.

— Panie poruczniku — rzekł słodkawo, ale głosem już trochę drżącym — gdyby tak kto inny nie ja, toby pana porucznika posądził o jakieś zakazane sympatje.

I tym lisim zarzutem jednak przeciwnika swego nie złamał.

— Możesz mnie posądzić i ty, — odpowiedział porucznik spokojnie — każę cię związać natychmiast i nie rozwiążą cię aż dowiedziesz.

— Żartowałem tylko, panie poruczniku, zażartowałem, przepraszam — rzekł z ukłonami — w każdym razie jednak jabym radził panu porucznikowi zrobić rewizję.

— Schowaj swoje rady dla siebie.

Pomimo tej opryskliwej odpowiedzi Rafał Fajski nie ustępował.

— Jabym nawet bardzo o to prosił pana porucznika.

— Nie mięszaj się w to co do ciebie nie należy.

Rafał Fajski wyprostował się. Twarz jego przybrała wyraz jakiejś pewności siebie, prawie dumy.

— Nie należy, nie należy — powtórzył — a jeżeli należy?

— Do ciebie należy podsłuchiwać, podglądac i donosić, a do władzy sądzić co w skutek twych doniesień przedsięwziąć.

— Pan porucznik jest w błędzie, ja mam większe prawa.

To mówiąc Fajski wyjął z zanadrza papier i podał go porucznikowi.

Był to dokument, jakiego nie miewają pospolici ajenci tajnej policji, dokument wyjątkowy, udzielony tylko zaufańszym, jednem słowem był to rozkaz do komend i posterunków wojska i żandarmerji, ażeby okazicielowi udzielały pomocy zbrojnej do spełnienia jego poleceń na jego odpowiedzialność.

— Ja teraz wzywam pana porucznika — rzekł słodziutko Fajski, odbierając od żandarma przejrzany przez niego dowód nieograniczonego zaufania rządu, — ażeby

pan porucznik przystąpił do jak najściślejszej rewizji tego domu i należących do niego zabudowań.

Żandarm nachmurzył tylko czoło i nic nie odpowiadając wyszedł z pokoju. Nie spodziewał się on widocznie, że denuncjant, który go sprowadził do Gradowiec jest w posiadaniu takiego rozkazu.

Nie pozostawało mu nic, tylko wykonywać biernie zlecenia człowieka, do którego prawa jego dusza nie mogła zataić pogardy.

Fajski wyszedł za nim, pewny, że tym razem życzeniu jego stanie się zadość.

Rozpoczęła się zatem jedna z tych najdotkliwszych i najprzykrzejszych operacyj policyjnych, które się nazywają rewizją domową.

Rafał Fajski wodził w niej rej. Szukając papierów przetrząsano wszystkie skrytki domowe, pruto pościel, zdzierano z mebli pokrowce, wyjmowano obrazy z ram, szukając broni kopano ziemię w ogrodzie, odrywano podłogi, dziurawiono ściany.

Trwała ta operacja kilka godzin i była bezskuteczną, nareszcie w jednem miejscu ogrodu natrafiono na dół otwarty. Widziano ten dół i przedtem, ale ponieważ nie spodziewano się w nim znaleźć niczego, więc go nie przeglądano, dopiero gdy pierwsze brzaski dnia zbliżać się już zaczęły. Rafał Fajski, zrozpaczony bezskutecznością poszukiwań, zagłębił tam swój wzrok pobożny.

Mignęło mu się w oczach, jakby coś świeciło się na dnie. W jednj chwili był już w dole a wkrótce potem wydrapywał się na wierzch, trzymając w ręku tryumfalnie kosę zupełnie przygotowaną do powstańczego użytku.

Pospieszył z nią do porucznika, który powrócił już do domu, i zastawszy go rozmawiającego ze Stanisławem, rzekł:

— Widzi pan porucznik... szukajcie a znajdzieeie, powiada Pismo święte... znalazłem!...

— Kawałek żelaza... — z uśmiechem dokończyła Konstancja.

— I dół...

— Próżny zapewne...

— Pusciuteńki, ale to żelazo dowodzi, że tam była broń, którą teraz, zwęszywszy pismo nosem, wykradziono. Zresztą to się w komisji śledczej pokaże czego to żelazo dowodzi, a tymczasem...

To mówiąc, zwrócił się do oficera i rzekł wskazując Stanisława tonem rozkazującym, chociaż zawsze słodkim i niby uprzejmym:

— Panie poruczniku, wzywam pana, ażebyś kazał okuć aresztanta.

Konstancja krzyknęła i przytuliła się do męża.

Oficer żandarmerji zwrócił się do szpiega.

— Słuchaj Fajski, — rzekł, — ja cię proszę, daj pokój. Ręczę ci słowem oficerskiem, że ten pan nie ucieknie.

— Przepraszam, panie poruczniku — rzekł Fajski z ukłonami, zacierając ręce — to ja właśnie chciałem prosić pana porucznika, żeby się pan nie mięszał w to co do pana nie należy. Wzywam pana abyś na moją odpowiedzialność kazał okuć tego człowieka, a wtedy ja mojem słowem ręczę, że nam nie ucieknie.

— *Podlec!* — mruknął żandarm przez zęby.

I spojrzawszy na Konstancję wzrokiem malującym bezsilne współczucie zawołał:

— Iwanow!

Było to nazwisko żołnierza, pozostawionego na straży w pokoju przyległym do tego, w którym odbywała się ta scena.

Nikt jednak nie odpowiadał na wołanie

— Iwanow! — powtórzył głośniej oficer.

Głuche milczenie było odpowiedzią i tym razem.

— Ja go poszukam — rzekł Fajski i otworzył drzwi.

Ale jak prędko je otworzył, tak prędzej jeszcze zamknął. Cofnął się przerażony na środek pokoju, na środku zawahał się chwilę i rozglądał do koła, jakby szukał jakiego wyjścia. Pokój ten był kancelarją Stanisława, innych drzwi z niego nie było. W mgnieniu oka Fajski był już na stole stojącym przy oknie i zaczął okno odryglowywać.

W tej chwili rozległ się wystrzał, denuncjant błyskawicznie zeskoczył ze stołu i znikł pod nim.

Równocześnie otworzyły się drzwi i kilkunastu uzbrojonych wpadło do pokoju.

Oficer od żandarmów cofnął się w kąt z dobytym pałaszem.

— Poddaj się poruczniku! — zawołał jeden z uzbrojonych — jesteś sam jeden, wszyscy twoi żołnierze już wzięci albo polegli, poddaj się!

Oficer milczał i nie wypuszczając z rąk pałasza pozostał w obronnej pozycji.

— Rozbroić! — zakomenderował przywódca.

W kilka chwil potem, mimo rozpacznej obrony, rozbrojono oficera, nie zadawszy mu żadnej rany.

Skończone, — rzekł przywódca — panie poruczniku jesteś jeńcem rządu narodowego polskiego. Muszę panu przyznać, że broniłeś się dzielnie, i że gdyby nie niespodziewany atak i nie przewaga siły, nie bylibyśmy cię mieli. Chciałbym panu dowieść, że choć młodzi żołnierze, honor żołnierski uszanować umiemy. Weź pan ten pałasz, jeśli nam dasz słowo, że go w tej wojnie przeciw nam nie użyjesz.

— Przepisy nasze nie pozwalają nam dawać tego słowa powstańcom...

— A honor nie pozwala panu dać takie słowo i później je złamać. Dobrze. Bezpieczni bylibyśmy o naszą przyszłość narodową, gdyby tylko ludzie honoru stali w szeregach armji waszej. Jesteś pan wolny.

(C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przystępujemy teraz do skreślenia najpiękniejszej chwili w twórczym zawodzie Mieczysława Romanowskiego. Poczet utworów poetycznych, o których nam mówić przychodzi, rozpoczyna się *Łużeckimi*, a kończy *Popielem i Piastem*. W cyklu tym zawiera się cały szereg kreacyj, należących do różnych działów poetycznych i zakrojonych na różną skalę. Są tu opowieści i rapsody, wykończone w rozmiarach wcale poważnych, jak *Łużeccy* i *Dziewczę z Sącza;* są małe obrazki powieściowe lub śpiewy i dumy historyczne, jak *Przewodnik w puszczy, — Sałdat z Cudnowa — Starosta Żegocki — Buława Rewery — Uczta Geronowa — Gero na Lachach — Ojcowskie słowo — Dzieweczka* i inne, odznaczające się niekiedy prześlicznem ujęciem i wystawieniem przedmiotu; są legendy na kształt owych z martyrologji wyjętych, jak np. o pątnikach, co to z polskiej ziemi poszli byli do Rzymu, aby wyprosić sobie relikwię u Ojca świętego; są fantazje przecudnych natchnień, jak *Anioł upadły* lub *Nowa znajomość;* są pieśni wielkiej siły lirycznej jak *Farys, nie Arab,* lub piosenki pełne wdzięku, a przytem głębszej myśli i podnioślejszej dążności, jak *Prośba — Co tam marzyć! — Audaces juvat fortuna — Pożegnanie — Finale;* jest wreszcie jeden utwór dramatyczny, wykonany we wielkich rozmiarach, i parę innych, rozpoczętych.

Przypatrzmy się przedewszystkiem obszerniejszym opowieściom: *Łużeckim* i *Dziewczęciu z Sącza.* Jakkolwiek obie noszą w ogóle charakter opowiadań historycznych, i należą do działu poezji epickiej, nie można ich przecież uważać za kreacje zupełnie jednorodne. *Łużeccy,* mimo nieproporcjonalności w artystycznem wypracowaniu szczegółów, okazują wybitnie wszelkie cechy rapsodu dziejowego, podczas gdy *Dziewczę z Sącza,* nazwane przez poetę skromnie tylko „rzeczą mieszczańską,“ w całości zakrawa na wykończoną mieszczańską epopeję.

W *Łużeckich* spotykamy się z chwilą, która uważana objektywnie, jest wielce zajmującą, bogatą w wypadki prawdziwie dramatycznej natury, roztoczone na szerokiem a różnolitem tle historycznego czasu. Dla tej różnolitości zdarzeń, których przyczyny i skutki w niejednem skupiały się ognisku, a liczne i krzyżujące się promienie rozsyłały na cały prawie horyzont owoczesnej Rzeczypospolitej, chwila, o której mówimy, nie jest wcale łatwą do ujęcia w ramy artystycznego obrazu. Zatargi i wojny z Tatarami, Turcją i kozactwem, niepokoje z Moskwą, wreszcie wewnętrzne nieporozumienia i rozterki, nieułagodzone i nieukojone—oto owe krzyżujące się promienie dziejowych wypadków, piorunne błyski szalonej burzy wieku. Poeta nasz, pojmujący dobrze wzniosłe posłannictwo ojczyzny swojej w obronie wiary, zwraca się w rapsodzie historycznym, który rozpatrujemy, przedewszystkiem ku zapasom narodu naszego z wrogami Chrystusowego krzyża. Wskazuje na to już sam prolog do *Łużeckich,* w nastroju swoim bardzo podniosły.

Stałaś strażnicą przed ołtarzem Pana,
Biała, krwi własnej wstęgą przepasana.
Jako ofiary jego wielkiej chwały,
Wieczne nad tobą pożogi błyszczały.
Góry twe były podnóżami arki —
Na polach czuwał lew, do boju szparki;
Ptacy ku niebu wzlatywali z wieścią,
A lud żył rolą, bojem i powieścią...
Z okiem i sercem wzniesionem do krzyża,
Słuchał on pieśni gromowego spiża...
Czuwał wigilje....

Pożoga od tureckiego półksiężyca miała tym razem przyjść przez zdradę Ukrainy. Poeta z go-

ryczą wspomina o Bohdanie Chmielnickim, głównym niegdyś sprawcy bratniego rozdarcia.

Ty spisz Chmielnicki!... w grobie do twej głowy
Z sykiem się czołga czarny wąż stepowy,
Niesie ci wieści....
Słuchaj! pierś dziką rozraduj w nowinie:
Z twojego ziarna rzeź na Ukrainie....
. . . .
Łuną pożarów klną go niebios sklepy,
I wiatr na grobach i Ławra i stepy,
I klnie jaskółka za gniazdko u chaty,
I przeklinają wszystkie polne kwiaty,
Przeklina matek i dziewic płakanie,
I Sicz rozdarta......
Archanioł biały zasłonił oblicze,
Bogu oskarża hordy buntownicze,
Żórawiem czajki wodził po Bosforze,
Dziś srebrnem skrzydłem nie wzleci na morze,
Żagla na sinej nie rozwinie fali,
Bo kozak powstał, morduje i pali!...

Po tem wszystkiem wprowadza nas poeta we właściwy tok akcji, którą zamierzył opisać. Było to za panowania króla Michała. Nad Polską już przedtem przez lat wiele, a od chwili wspomnianej w prologu do *Łużeckich*, groźniej niż kiedykolwiek gromadziły się burze wojenne i od czasu do czasu ciężkiemi uderzały gromami. Mówimy tu o rozruchach ukraińskich i połączonych z niemi pożogach tatarskich i tureckich. Jako jeden z ważniejszych aktorów naszego rapsodu, acz ukryty w głębi obrazu, ukazuje się nam naczelnik niechętnej wówczas Polsce choć pod jej panowaniem zostającej Ukrainy: hetman kozacki Doroszeńko. W skutek Podhajeckiej Sobieskiego wyprawy, dokonanej szczęśliwie i z chlubą dla oręża polskiego w r. 1667, poddał on się był wprawdzie Rzeczypospolitej i poprzysiągł wierność Janowi Kaźmierzowi; ale nosząc się z wielkiemi planami, tajemnie knuł zdradę. Chodziło mu o zjednoczenie, a w dalszym ciągu zapewne także o zupełną niepodległość Ukrainy, czego wszystkiego, jak mniemał, tylko przy pomocy Turcji mógł dokonać. Był zwolennikiem, a nawet wassalem tego strasznego wówczas w Europie mocarstwa, jeszcze przed Podhajecką potrzebą; teraz z rachuby odnowił tajemnie dawne układy i w połączeniu z tatarską ordą złowrogi półksiężyc wiódł w polskie dziedziny.

Doroszeńko, to postać wielce ważna, bo główna sprężyna krwawych zdarzeń owego czasu; postawiona jest jednak, jak powiedzieliśmy, w rapsodzie naszego poety zupełnie za kulisami sceny. Drugą postacią, mniej już wprawdzie wpływającą na przebieg wypadków, jest Haneńko, pułkownik humański, wódz naczelny tych wszystkich kozaków, którzy odrzucili poddaństwo tureckie, a pozostali wiernymi Rzeczypospolitej. Poeta w opowiadaniu swojem umieścił tę postać między figurami trzeciego rzędu, naznaczając jej rolę jedne z podrzędniejszych.

Cała akcja będąca przedmiotem *Łużeckich* przypada na rok 1672. Nie podobna nam żadną miarą w szczegółach opisywać grozy owej wojny, która pomimo że mogła być spodziewaną, zastała naród nasz nieprzygotowanym, rozdartym stronnictwami, i choćby już dla tej tylko przyczyny niezdolnym zaraz w pierwszej chwili stawić skutecznego oporu. Wspomniany rok 1672 i poprzedni 1671 były świadkami pożogi, która od kresów ukraińskich szerokiem rozlewając się korytem, sięgnęła głęboko w Ruś czerwoną, porwała wiele ofiar i rozległe ziemie zamieniła w pustkowia. Ogromnem wojskiem tureckiem, które za Doroszeńki poduszczeniem wyprawiło się wówczas na Polskę, dowodził Nuraddyn sultan; później wyruszył na tę wyprawę z nowemi siłami sam Mahomet IV.

Romanowski wszystkie promienie dziejowej swojej pieśni skupia głównie w dwóch punktach: pod Czetwertynówką i pod Budzanowem. O pierwszej tej potrzebie, choć smutnie zapisana jest na kartach naszej historji, mówią głośno świadectwa przeszłości; druga, opromieniona aureolą niezwykłego heroizmu, zachowuje się dotąd w żywej tylko tradycji podolskiego miasteczka, i w jedynym zapisku historycznym Wespazyana Kochowskiego. Bohatyrami wypadków, jakkolwiek nie w tem samem znaczeniu — co zaraz zobaczymy—są dwaj bracia: Karol i Tomasz Łużeccy. Obie te postacie stoją na pierwszym planie rapsodu, który rozpatrujemy. Przyjrzyjmy się im z bliska. Karol Łużecki, to figura w dziejach dobrze znana. Kasztelan podlaski, miał sobie od króla Michała, wespół z Wyżyckim, poruczone dowództwo nad wojskiem ukraińskiem w tej wojnie przeciw Kozactwu, Turkom i Tatarom. W poemacie naszym występuje jednak tylko sam pan kasztelan —i słusznie, bo wypadki pod Czetwertynówką mogą się policzyć jedynie na karb jego własny. Jest to człowiek bez energji, bez miru u rycerstwa, ambitny, a jak na wodza wielce lekkomyślny. Wprawdzie na pozór zdaje się świecić od jego czoła animusz naddziadów, a w jego słowach przebija się nawet ta pewność, która cechowała czyny największych bohatyrów.

. . . . Przyrzeka wygranę,
Przyrzeka zniszczyć hordy zbuntowane.

Gdyby się kto jednak lepiej jemu przypatrzył, łatwoby się poznał na przechwałkach. W obliczu nieprzyjaciela pan Karol

. . . . przyodziany w łamy
Wyjechał, krzyknął: „Witajcie!“ — „Witamy!“
A potem starszą komendę powitał,
I panów szlachtę o zdrowie zapytał;
Poznawszy zapał, rzekł: „Wielce mię cieszy,
Że wam się, bracia, ku ochocie spieszy;
Dziś — jutro jeszcze, potem dni spoczynku,
A Dorosz głową odpowie na rynku!“

Wyrazy te byłyby bardzo do twarzy prawdziwemu bohatyrowi, rycerzowi z imienia i znaczenia. Ale takim nie był Karol Łużecki. O naczelnym wodzu niedobre wieści krążyły w obozie.

. . . . Ci, co bliżej kasztelana znali,
Jakoś się z boku nie szczerze patrzali:
„Zasługą ojca godności się dobił,
Ale na wodza dziwnie się sposobił.
Rozpierzchle w stepie rabusiów gromady
Pobił — i myśli, że już gromowładny!
Wzbija się w dumę, w naradach nadyma,
A jeszcze armji nie miał przed oczyma.“
Już tam i echo wieść szlachcie zaniesło,
Że mu się śniło wojewódzkie krzesło.

(C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

Łatwo pojąć, że dla histeryczek magnetyzm zwierzęcy stał się skarbem niewyczerpanym, i że one z wielką ochotą poddają się czynnościom magnetyzera. Wiara w cuda najlepiej wpaja się w słabe lub osłabione umysły. Skoro zjawi się człowiek mający wiarę w swoją nadprzyrodzoną, tak zwaną magnetyczną siłę, lub mający bezczelność popisywać się z tem w co nie wierzy i wydoskonali techniczną stronę przedstawienia, dość mu pokazać się wśród nerwowych kobiet, żeby natychmiast jedna lub druga doznała najżywszego wrażenia. Wiadomo, że w stanie największej harmonji umysłowej obrazy wewnętrzne są zależne od wrażeń zewnętrznych, to jest, że widzimy rzeczy takiemi jakiemi one są. Lecz i u osób najzdrowszego umysłu można za pomocą środków sztucznych rozwinąć taki stan umysłowy, w którym uczucie wewnętrzne bierze górę nad zewnętrznem, i rzeczy zaczynają przedstawiać się inaczej jak one są. Pomięszanie umysłu jest tylko chwilowym, lub stałym stanem podobnym. Magnetyzer działając na wyobraźnię, drażniąc zmysły, może wzbudzić sen lub hallucynacje, doprowadzić do konwulsyj, lub zachwytu. Należy dodać, że magnetyzer mający przekonanie o swej cudotworczej sile daleko więcej w stanie jest dokazać, jak szarlatan wiedzący że oszukuje, a tylko szukający zysku w magnetyzowaniu.

Wybitną właściwością histeryczek jest osłabienie panowania woli nad poruszeniami ciała. U osób tego rodzaju można wywołać napad kurczów, lub lekki napad wzmódz do gwałtowności, okazując chorym współczucie, lub upewniając że napad będzie bardzo silny. Przeciwnie jeżeli w czasie napadu obchodzi się surowo z choremi, lejąc im szklankę wody w twarz raz po raz i grożąc że to będzie powtarzać się dopóty, dopóki się napad nie skończy, można prawie zawsze wzbudzić u chorych silny objaw woli i położyć tamę mimowolnym ruchom. Ludzie miałkiego lub niewykształconego umysłu często bardzo niesłusznie podejrzewają udawanie w spazmach, mdlenie itd. nerwowych kobiet. Histerja jest chorobą i bardzo trudną do uleczenia.

Drugą chorobą nerwową, której objawy poznać nam z kolei wypada, jest katalepsja. W czasie napadu kataleptycznego członki chorego pozostają trwale w tem położeniu, jakie im chory nadał dowolnie przed napadem, albo w jakie je wprawiła obca ręka w czasie napadu. Członki nie opadają na mocy ciężkości, i nie mogą być zmienione w położeniu swojem wolą chorego. Opór, jaki członki stawiają sile ciężkości dowodzi, że mięśnie są do pewnego stopnia skurczone. We wszystkich stanach, gdzie mięśnie są zupełnie zwietrzałe, jak w omdleniu, przy śmierci, podniesione członki opadają na mocy swej ciężkości skoro tylko przestaniemy je podtrzymywać. Przy katalepsji zaś wszystkie nerwy ruchowe znajdują się w stanie miernego pobudzenia, a w skutek tego wszystkie mięśnie ciała są skurczone do tego stopnia, który pozwala członkom stawiać opór sile ciężkości, z czego można wnosić, że stan skurczenia mięśni przeciwdziałających najzupełniejszą zachowuje równowagę. Że jednocześnie istnieje nieprawidłowy stan mózgu widać już z tego, że chorzy nie są w stanie siłą woli przeinaczyć stanu pobudzenia swych nerwów ruchowych. W wypadkach katalepsji, którym towarzyszy brak przytomności, chorzy nie robią żadnych wysileń; w tych zaś razach, gdzie przytomność jest zachowaną, chorzy chcą się poruszać lecz nie mogą bo wolę utracili, być może wskutek tego, iż między źródłem woli a nerwem, na który ona ma działać, istnieje przeszkoda.

Napady kataleptyczne nie są wcale rzadkością u cierpiących na choroby umysłowe, na-

przykład na zadumę (melancholję), histerję pląsawicę (taniec św. Wita) etc. a bardzo rzadko występują u osób zdrowych. Najczęściej jej podlegają dzieci i osoby młode. Za przyczyny okolicznościowe katalepsji podają głównie wzruszenia umysłowe pod wpływem których nawet u osób zdrowych występują słabe objawy tego stanu chorobowego, gdyż codziennie możemy widzieć, iż ludzie raptownie przestraszeni lub rozgniewani stają jak wryci i podniesionej ręki nie opuszczają, dopóki trwa wzruszenie umysłu.

Napad kataleptyczny występuje doraźnie. Chory zostaje nieporuszonym jak posąg w postawie, lub w położeniu w jakiem się znajdował w chwili, gdy napad zaskoczył go, tak że chory może zasnąć stojąc jak bocian na jednej nodze, jeśli napad zaskoczył go idącego w chwili gdy podniósł już nogi do stąpienia. Członkom chorego można wtedy nadać jakie chcemy położenie. W czasie napadu przytomność lub wrażliwość na bodźce zewnętrzne jest albo zupełnie utracona, albo też przytomność jest zachowana, bodźce zewnętrzne wywierają swój wpływ, ale chorzy nie są w stanie ani mową, ani ruchem dać znaku przytomności. Ruchy oddechowe, uderzenia serca i tętno są niekiedy tak słabe, że zaledwo można je dostrzedz, wszystkie wydzielenia są powstrzymane. Napad taki może trwać minutę lub kilka i kilkanaście dni. Skoro napad ukończy się, chory zaczyna ziewać i robi wrażenie człowieka budzącego się z głębokiego snu; czuje pewien czas znużenie, zawrót i skarży się na zajęcie głowy. Często występuje jeden tylko napad, rzadko kilka napadów po sobie w mniejszych lub większych odstępach czasu. Obawa, aby chorzy w czasie napadu kataleptycznego nie byli pochowani za życia, nie jest w dzisiejszym stanie nauki uzasadnioną. Najczęstszem zejściem katalepsji jest wyzdrowienie.

Oto jest streszczenie klasycznego opisu tej choroby przez uczonego i sumiennego pisarza prof. Niemayera. Jednak są w nim pewne luki, które wypełnić należy, a mianowicie:

1. Chociaż najczęściej zdarza się obserwować wypadki katalepsji, w których jest kompletna utrata zmysłów i ruchu, tak że po napadzie chory nic nie wie co się z nim działo, jednak w wielu razach zauważano, iż w czasie napadu chory zachował zupełną świadomość co mówiono, albo robiono około niego, dokładnie czuł ukłucia lub uszczypnięcia, lecz nie mógł zrobić żadnego ruchu, lub odpowiadać na zadawane pytania, bo mięśnie woli podległe były jakby sparaliżowaniu. Chory miał poczucie istnienia swego, chciał lub nie chciał czegoś, lecz wola straciła panowanie nad organami ruchu, za pomocą których objawiają się życzenia nasze.

2. Bywają, choć i bardzo rzadko, wypadki, iż chorzy w czasie napadu kataleptycznego mogą mówić, chodzić jak w zwykłym stanie. Działanie woli jest jedynie zmodyfikowane, a mianowicie niezmiernie osłabione. Taki stan katalepsji łatwo wywołać za pomocą hypnotyzmu, (o czem niżej) którym posługuje się magnetyzer wprawiając pacjentki swe w sen magnetyczny czyli kataleptyczny.

3. Katalepsję według zdania wielu należy uważać za pewną formę histerji. Kataleptycy i histeryczki wpadają często w zachwyt czyli ekstazę. Jest to pewny chorobliwy stan mózgu, przy którym myśl jakaś tak przenika całą istotę człowieka, że on dostaje halucynacji zmysłów, traci poczucie świata zewnętrznego, i możność dowolnych ruchów. Człowiek mówi o przedmiocie który go zajmuje, lecz nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje, a wszystkie życiowe czynności organizmu są w nim zwolnione. Do ekstazy, do zachwytu są szczególnie usposobione nerwowo, sfanatyzowane w jakimkolwiek bądź kierunku kobiety, ludzie wśród umartwień ciała i postów oddający się rozmyślaniom religijnym, jak to często można obserwować w Indjach — na Fakirach.

Wspomniałem wyżej o hypnotyzmie, muszę objaśnić znaczenie słowa. tego, przedtem nim przystąpię do opisania objawów i przebiegu choroby u kaleptyczki, którą leczyłem i obserwowałem razem z dr. m. Gastonem de St. Martin w ciągu dwu lat.

Hypnotyzowanie jest to sposób odkryty przez Braida, za pomocą którego można pogrążyć osobę w sen kataleptyczny. Sposób ten zależy na tem, iż bierze się jaki niewielki przedmiot świecący, naprzykład lancet, między trzy pierwsze palce i trzyma się w oddaleniu 20 do 40 centymetrów od oczu nad samą osadą nosa. Następnie poleca się hypnotyzowanemu zwrócić wzrok na ten przedmiot i nie spuszczać go z oka. Z początku źrenica oka zwęża się, potem rozszerza się, a gdy rozszerzenie jest już dość znaczne potrzeba wyciągnąć wskazujący i średni palec, rozszerzyć widełkowato i zrobić ruch powolny ku oczom: powieki zamkną sią natychmiast lecz będą drgać nieustannie. Po dziesięciu lub piętnastu sekundach, podejmując z lekka rękę lub nogę obaczymy, że członek pozostaje w tem położeniu w jakiem go postawiliśmy. Jeżeli to nie nastąpiło jeszcze, należy pacjentowi polecić wyciągnąć członki, natychmiast tętno zacznie częściej uderzać, a członki zesztywnieją. Wtedy można zauważać iż oprócz wzroku wszystkie zmysły, dalej zdolność oceniania ciepła i zimna, wreszcie czynność mięśni i pewne zdolności umysłowe są podniecone tak, jak to się zdarza po zażyciu wina, wódki, lub makowca (opium.) Lecz po pewnym czasie stan pobudzenia zmienia się na stan przytępienia daleko większego jak w zwykłym śnie. Zmysły czucia i mięśnie mogą w jednej chwili jedne ze stanu zupełnego odrętwienia, drugie ze stanu sztywności, przejść w stan zupełnie przeciwny, to jest niezmiernej ruchliwości i czułości bardzo podniesionej. Dość jest ruchem ręki skierować prąd powietrza na organ lub organa które chcemy podniecić, lub na mięśnie które były skurczone kataleptycznie, żeby przyszły do zwykłego swego stanu. Rezultat tego można też osięgnąć przez dłuższy odpoczynek. Niezmienna skuteczność tego środka pochodzi nasamprzód ze stanu umysłowego pacjenta, który jest usposobiony do hypnotyzowania przez oczekiwanie, że ono nastąpić musi i przez upewnienie manipulującego że temu uspieniu pacjent oprzeć się nie może. Przyczyną zaś jest pewne zmęczenie mózgu w skutek skierowania oczu na błyszczący przedmiot. Gdy stan hypnotyczny już wywołano razy kilka, pacjent może sam siebie uspić patrząc na palec tak zbliżony do oczu żeby osie ich zbliżyły się, lub zachowując się spokojnie i skierowawszy wzrok na daleki przedmiot, lub nareszcie patrząc nieruchomie w oczy drugiemu. W każdym razie dla doprowadzenia do tego stanu najważniejszym warunkiem jest stałe skierowanie oczu na jakikolwiek bądź przedmiot i usunięcie wszystkiego coby rozrywało myśl pacjenta. Z tego widzimy, że hypnotyzm i stan wywołany za pomocą tak zwanego magnetyzmu zwierzęcego są to rzeczy jednakowe; niepotrzebny więc jest dla uspienia jakiś wpływ woli magnetyzera; — dość znać pewne manipulacje, męczące mózg i prowadzące do uspienia, a zarazem do objawów z nim związanych. W śnie wywołanym przez hypnotyzm wszystkie zmysły są pobudzone i nadzwyczajnie wrażliwe; uspieni mają szczególną czułość na ruchy muskularne, tak że nie widząc ich zgadują jaki ruch przy nich zrobiono. Dla tego też ruch ten może im poniekąd zastąpić zmysł wzroku i hypnotyzujący poruszeniem ręki może kierować czynnościami uspionego, zupełnie tak jak słowem, a według położenia nadanego uspionemu rodzą się w nim idee i myśli odpowiadające położeniom.

Że hypnotyzm lub magnetyzm zwierzęcy (bo to są różne nazwy jednej rzeczy) nie jest wypływem jakichś sił nadprzyrodzonych, niby wychodzących z jednego człowieka i wchodzących w drugiego, za najlepszy dowód może służyć ten fakt, że łatwo każdemu uspić i pozbawić czucia kurę lub koguta, stale skierowawszy ich wzrok na jakikolwiekbądź przedmiot świecący blisko oczu położony. Robiąc to doświadczenie należy ptaka bokiem położyć na ziemi, a przed dzióbem jego kredą przeciągnąć linję — ptak zostanie nieruchomym i nieczułym na ukłucia.

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL *)

ROZDZIAŁ I.

(*Moja flota i służba. — Wyżeł nowego rodzaju. — Koziołki po wystrzale. — Komora w Thayet. — Mhyoo. — Misjonarze francuscy. — Napad Indjanów. — Dah, kordelas birmański. — Okolice Thsile — Fabrykacja wcinikсu. — Niepowodzenie myśliwskie. — Kokieterja kobieca. — Głuszec. — Festyn birmański.*)

Z początkiem maja 1859 r. opuściłem Rangoon, udając się w górę rzeką Irawady, ku stolicy cesarstwa birmańskiego. Mała moja flota składała się z sześciu łodzi wyładowanych ludźmi, kobietami, dziećmi, maszynami i narzędziami potrzebnemi do fabrykacji prochu, materyj palnych i broni. Siódma łódź była zajęta przezemnie, moją familję, służbę i ruchomości. Pierwsze trzy dni naszej nawigacji służyły nam do wciągnięcia się w życie, które dla nas było całkiem nowe. Co wieczór łodzie zatrzymywały się zarzucając kotwicę lub dobijając do brzegu, a załoga zapuszczała się bądź za żywnością do pobliskich wsi, bądź powodowana ciekawością zwidzała nowe miejscowości.

Służba moja składała się z początku z dwóch ludzi. Jeden z nich, Disiré, marynarz z Prowancji; drugi Józef, murzyn, obznajomiony z europejskiemi zwyczajami. Później w Mandelay stosując się do tamtejszych zwyczajów, nająłem półtuzina sług krajowych, którémi nie będę się więcej zajmował, z wyjątkiem młodego Palunga, przezwanego przezemnie Lougle, który był wzorem obyczajności, wierności i przywiązania.

Disiré z miną słodziutką i poważną był

*) Dzieło, z którego najważniejsze przytoczymy ustępy, opuściło właśnie prasę w oryginale francuskim i jeszcze na żaden język nie jest tłumaczone. Thomas Anquetil należy do najpierwszych dziś podróżników i do tej chwili bawi w Indjach wschodnich.

charakteru gwałtownego. Fałszywy jak Judasz, zwykle chciwy, ale rozrzutny w chwilach rozpusty, był mało obznajomiony z zajęciami domowemi. Języków, oprócz trochę angielskiego, nie posiadał żadnych; do tego na wpół ślepy, małe oddawał nam usługi; ale w Rangoon nie miałem wyboru; potrzeba nam było sługi Francuza, wziąłem więc co się zdarzyło.

Józef, jak po największej części *Klingsy*,*) był poganinem chociaż ochrzczony, i wyznawał na przemiany braminizm, budaizm, mahometanizm, katolicyzm, co kto chciał, a przedewszystkiem fatalizm, gdyż był z natury bardzo zabobonnym. Przeleciał dużo świata zmieniając pana za każdą nadarzającą się sposobnością. Kaleczył pięć czy sześć języków i z dziesięć narzeczy, wyobrażając sobie, że wszystkie gruntownie posiada. Sprytny i gorliwy w usługach, chciał być zdatnym do wszystkiego, ale przez wrodzone sobie roztrzepanie i lekkomyślność popełniał często wielkie głupstwa. Odważny z popędu a więcej z próżności, byłby się dał za nas porąbać; — ale nadewszystko był libertynem. Gdziekolwiek zatrzymaliśmy się dłuższy czas, mój Józef żenił się. Przychodził do rodziców swojej przyszłej, składał część sumy umówionej kontraktem, kupował narzeczonej jakie szmatki jaskrawe, przystępowano do zaręczyn, a po wielkim festynie małżeństwo było dokonane. W tydzień lub dwa najdalej, mój ładny chwat odprowadzał żonę na łono familji z wymówką, że nie jest w stanie zapłacić reszty zawarowanej sumy, i był znów gotów do powtórnych ślubów. Takim był mój czarny Figaro.

Byliśmy właśnie w porze roku poprzedzającej zimę, kiedy wielkie ptactwo opuszcza śnieżne szczyty emigrując ku wybrzeżom Archipelagu. Od czasu do czasu po nad naszemi głowami przelatywał klucz żórawi, ale wszystkie moje usiłowania ubicia którego z tych ptaków były długo bezowocne; w chwili dopiero gdy w południe łódź zwolna posuwała się środkiem rzeki udało mi się przecież ubić żórawia. Ledwie dosięgnięty strzałem spuszczał się na dół, mój Józef, który cały czas przyglądał się tej scenie z gorączkową niecierpliwością, zakrawającą na gorliwość psa myśliwskiego, rzuca się w mgnieniu oka w wodę, chwyta żórawia zębami za szyję, dopływa do nas i promieniejący radością składa mi swoją zdobycz.

— Józef dobrze poluje panie, nieprawda! — zawołał, a woda strumieniem ściekała z przemokłego ubrania.

Żona moja, z wielkim niepokojem patrząca na ten wyskok waleczności, zwróciła się do niego z wymówkami. — Józef pływa jak rekin! On nigdy nie utonie! Woda nie może go zalać! Ha! ha! pani...

Dobry kieliszek rumu przerwał mu dalsze przechwałki, ale popołudniu powtórzone przedstawienie nie udało się tak zgrabnie. Prąd był silny, i o mało życiem nie przepłacił swego zuchwalstwa.

Na drugi dzień zmienił się krajobraz. Nie były to uprawne przestrzenie i częste wsie; rzeka ściśnięta po dwóch brzegach kniejami płynęła spokojnie, czysta jak zwierciadło, odbijając w swych nurtach szafir nieba. Łąki, stada bydła, wsie i ludzie, wszystko zniknęło; nic nie przerywało głębokiej ciszy tej samotności, tylko od czasu do czasu krzyk pawia rozdzierający powietrze, i regularne uderzenia wioseł mąciły panujący spokój. Na wysokich drzewach bażanty i pawie kołysały się poważnie, za daleko by je z łodzi strzał dosięgnął; jedne czaple odważniejsze wzlatywały i usiadały po brzegach rzeki.

*) Anglicy nazywają *Klings*, sługi pochodzenia indyjskiego, z profesji oddające się służebnictwu; Francuzi nazywaią je Lascar.

Gatunek pospolity i największy, *andrea major*, nie jest zwierzyną; białe jego pióra tylko i czarny czub warte są naboju; ale spostrzegłem inne dwie poszukiwane odmiany; jedne purpurowe, których szyja ubarwiona jest ku piersiom różowego koloru piórami, drugie czubate, z powiewnemi jak jedwabne włosy piórkami, ozdoba sultanek, księżniczek i panujących. Nie mogłem dłużej zwyciężyć pokusy posiadania kilku egzemplarzy, i kazawszy Desiremu wsiąść do czółna rozpocząłem czaty. Po wystrzale eksmajtek przynosił mi zdobycz, i rzecz dziwna, raz była purpurowa, drugi raz znowu czubata czapla, co mię naprowadziło na myśl, iż to muszą być odmiany bardzo sobie pokrewne, i mięszające się chętnie, a nie dwa odrębne gatunki.

Józef, który był już zapomniał o wczorajszym wypadku, zmartwiony, że musiał z założonemi rękoma stać przy mnie, śledził bacznem okiem oba brzegi rzeki.

— Panie, panie! — zawołał radośnie — dużo wielkich białych ptaków tam! — i palcem wskazywał na pagórek sterczący nad brzegiem.

Rzeczywiście, przyłożywszy binokle ujrzałem na piaszczystej płaszczyźnie kończącej się prostopadłem wzgórzem całe stado wysokonogich, których z tej odległości nie mogłem jeszcze do żadnej familji zaliczyć. Żerowały najspokojniej, zbierając owady, małe płazy i porywając rybki zapędzające się pod brzeg wody.

— Umiesz ty się obchodzić ze strzelbą? — zapytałem Józefa po chwili namysłu.

— Oh, ja często strzelałem!... Ja umiem strzelać, słowo honoru panie!

— A więc pójdziesz ze mną.

Pomyślałem sobie w duchu, że mój zuch nie musiał mieć innej broni nad stare pistolety i strzelby, używane przez murzynów podczas ich festynów, ale mimo to mógł mi posłużyć do nagnania stada i niesienia trupów. Powierzyłem mu więc nabitą strzelbę. Trząsł się z radości biorąc broń do ręki, co potwierdziło moje powątpiewania o jego strzeleckich zdolnościach.

Desiré wysadziwszy nas na brzeg, wiosłował zwolna gotów na każde zawołanie. Ja i Józef szliśmy ostrożnie brzegiem zarośli, z uwagą natężoną i nie będąc sami widziani. Zdaleka ryk drażniący nerwy doleciał nas i skłonił do pospiechu; nie byliśmy przygotowani na tego rodzaju walkę. W pobliżu wzgórza brzeg się zaokrąglał, a ścięta pionowo skała zostawiała wąski przesmyk, po którym brodziło stado bocianów. Obejrzawszy położenie, obmyślałem plan wprowadzając go natychmiast w wykonanie. Józefowi kazałem okrążyć wzgórze, zbliżyć się cichaczem do ptaków, dać ognia i ukazać się jednocześnie by stado nadleciało na moją stronę. Ja zaś miałem przyparty do skały z odwiedzionemi kurkami czekać zerwania się bocianów.

Rzeczywiście czekałem, i czekałem długo... Nareszcie, oba strzały rozlegają się jednocześnie, nic mi się jednak nie ukazuje. Zniecierpliwiony wysuwam się z mojego ukrycia i widzę jak bociany rozlatują się na wszystkie strony, tylko nie na mnie. Rozgniewany o mało nie rozbiłem strzelby o skałę. — W tem głuchy jęk doleciał mię z boku — patrzę — a to pan Józef stęka, wyciągnięty w całej swojej długości na piasku, i przeciera oczy usiłując postawić się na nogi. Strzelba leżała obok niego zagrzebana do połowy w piasku.

Tego było mi już za wiele. Nieposiadając się z gniewu schodzę spiesznie z pagórka, dobiegam do Józefa a chwyciwszy go za kark wstrząsam nim gwałtownie, i obracam twarzą do siebie by mu lepiej zajrzeć w oczy.

— Coś ty zrobił gamoniu? Czemuś był nieposłuszny?

— Panie — bełkotał — ja nie mógł się dostać, przejście zatkane, ja wydrapał się na skałę i strzeliłem do ptaków... Aji.. aji... Patatra!

Zrozumiałem go i parsknąłem śmiechem. Widząc mój wybuch wesołości, Józef ośmielił się trochę a rozglądnąwszy się w około rzekł.

— Oh panie! ja z pewnością zabił wielkiego ptaka! — i szukał z taką ufnością, że i ja zabrałem się do poszukiwań. Nie dalej jak o sześćdziesiąt kroków trzy bociany zabite leżały nad brzegiem wody z dziobami utkwionemi w mule. Były to okazy cennego gatunku, który zasila nasze piękne panie temi piórami marabou, tak poszukiwanemi do ubioru. I wyobrazić sobie, że tych ptaków były tu setki, a przez tego gamonia zostałem pozbawiony tak pożądanej zdobyczy? Wyobrazić sobie, że ten urwis, wystrzeliwszy z dwóch luf naraz, przekoziołkował się z wysokości trzydziestu do czterdziestu stóp, i nie połamał sobie żeber. Że... ale gdzie tam, on się tylko otrząsł i dumny ze swego szczęścia śmiał się, śpiewał i tańczył spoglądając na swoje ofiary.

Zakrzyknąłem na Desirego, — i wkrótce dognaliśmy naszą flotę. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambulu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

Poseł pojechał więc lądem, jednym pojazdem z sekretarzem ambasady Skrzetuskim, cała zaś świta jego, synowie, guwerner i my wsiedliśmy na okręt. Widok morza, owej nieprzejrzanej okiem przestrzeni, był dla nas zadziwiający, rzucanie się okrętu wszystkich o słabość przyprawiło; ja tylko jeden nie chorowałem. Morze jednak było dość spokojne. Wiatr był pomyślny, towarzystwo nasze liczne, a muzyka posła rano i wieczór nam przygrywała. Lecz piątego dnia zerwała się burza przez trzy dni trwająca, tak, że przez ten czas nie można było nic gotować; jedliśmy tylko zimne mięsiwa, i każdy w swojej izdebce siedział, bo wyjść na pokład okrętu nie było można. Okręt został zapędzony na brzegi Kalabrji; kapitan upatrzywszy dogodne miejsce zarzucił z wielką trudnością kotwicę, ja z Brońcem i jednym służącym wzięliśmy czółno okrętowe, w chęci dostania się na ląd. Morze było jeszcze tak rozhukane, że pomimo iż sześciu silnych majtków wiosłami robiło, czółno to w górę się wznosiło, to zanurzało się w morze, a bałwany na nas wpadały; wiatr ku brzegom, a bałwany od brzegów czółno odpędzały, tak dalece, że w końcu nie przybiwszy do lądu, trzech majtków silnych każdy jednego z nas wziąwszy na

barki, przypłynęli z nami do miasta Manfredonji. Tam w oberży przenocowawszy, już do okrętu nie wróciliśmy, ale wynająłem dwa powozy o dwóch kołach, jak nasza bieda, *corricolo* zwane, i niemi puściliśmy się dalej w podróż wzdłuż brzegu morza i małemi zaroślami, a że tam ciągle kręcą się contrebandieri, czyli rozbójnicy morscy, którzy napadają i rabują, komendant fortecy Manfredonji dał nam eskortę z dwóch żołnierzy, minę zbirów mających, z długiemi rusznicami, którzy pieszo szli przy nas. Ponieważ to spóźniało naszą drogę, a my nie bardzo ufaliśmy odwadze naszej eskorty, sami zaś dobrze byliśmy uzbrojeni, odprawiwszy więc naszych obrońców, którzy nas odprowadzili tylko o dwie mile, ruszyliśmy dalej po kraju zupełnie pustym, nie znając ani drogi ani języka.

Po drodze spotykaliśmy nad brzegami morza szałasy z chrustów w małej odległości jeden od drugiego, z których wychodzili po jednemu ludzie ubogo ubrani i opaleni od słońca. Byli to, jak nam mówił woźnica, rybacy, ale widząc nas kilku i uzbrojonych, każdy stał przy swoim szałasie i nie śmiał się przybliżyć. Gdy noc nadchodziła, ujrzeliśmy ogromny dom murowany nad samem morzem pośród krzaków oliwnych; wszedłszy zastaliśmy jednę tylko kobietę starą, a nie mogąc się z nią w żaden sposób rozmówić, bo język ludu neapolitańskiego różni się od włoskiego, jeden z nas zapiał jak kogut, co baba zrozumiawszy, starą kurę przyniosła, i tę upiekła na oliwie, zamiast na maśle. Bojąc się napadu rozbójników, obeszliśmy dom cały i zatarasowawszy wszystkie wnijścia, położyliśmy się spać. Jakoż późno w noc zaczęto się dobywać do wrót. Baba wyjść chciała, ale Broniec skoczywszy z pościeli, odprowadził ją i kazał się jej położyć; drzwi zaś zamknął, aby nie wyszła. Przez pół godziny dobywali się jeszcze do nas, nareszcie wszystko ucichło i my spokojnie do rana dospali. Nazajutrz skoro świt w dalszą puściliśmy się drogę, przejeżdżając przez Bar, sławne mieszkaniem królowej Bony, Barlettę, Mallettę i inne małe a mizerne miasteczka.

Po trzydniowej takiej podróży, przybyliśmy nakoniec do Brindisi, siedziby posła Neapolitańskiego i sławnego mieszkaniem Cycerona, zkąd listy swoje pisywał. Tam i okręt przypłynął, i znowu złączyliśmy się z naszymi towarzyszami. Tu kilka dni odpocząwszy popłynęliśmy do wyspy Corfu, gdzie zastaliśmy posła czekającego na nas. Poseł dla lepszej wygody wynajął okręt wojenny wenecki, o 7miu armatach, ponieważ i bezpieczniejszy i nie tak kołysaniu podlega jak kupiecki. Po kilkudniowym odpoczynku, gdyż rzeczy i ekwipaże przeniesiono do nowego okrętu, puściliśmy się znowu w dalszą podróż. Morze było spokojne, pogoda nam służyła. Płynęliśmy około wysp Cefalonia, Santa Maura, gdzie nam pokazywano ów skok bajeczny Luchada, przez którą to cieśninę dziś okręty przechodzą; dalej widać było jak skałę, Ittakę. Ale w czasie naszej podróży po opuszczeniu Korfu zmarł nam jeden służący. Ten stosownie do zwyczajów morskich zaszyty w wór z piaskiem został wrzucony w morze. Nikt nie ma więcej przesądów i zabobonów jak marynarze; zaraz zaczęli mówić, że to zła wróżba. Jakoż ledwie kilka mil od tego miejsca odpłynęliśmy, kiedy wiatr przeciwny powstał i przymusił nas wrócić do Korfu. My młodzi wcaleśmy się za to nie gniewali, bo w tem mieście była opera dość dobra, na którąśmy co dzień chodzili. Ale rzecz dziwna, trzy razy odpływając wracaliśmy do portu, bo ile kroć zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie wór z umarłym był wrzucony, wiatr natychmiast powstawał i nazad nas pędził, a majtkowie wołali, że widzą, jak wór na powierzchni się pokazuje, tak jak ciało owego nieszczęśliwego Caracciolo przy flocie Nelsona. Za czwartym dopiero razem przebyliśmy to miejsce. Później nie mieliśmy żadnego wypadku i przybiliśmy do portu greckiego Patros, gdzie już na nas czekał od Porty wysłany urzędnik, noszący tytuł Michmandara. A że dalszą podróż lądem mieliśmy odbyć, więc musieliśmy się kilka dni zatrzymać, póki wielbłądy pod juki i koni kilkadziesiąt pod jazdę nie zostały sprowadzone. Reszta świty i bagażów okrętem prosto do Konstantynopola popłynęła.

Pokazywali mi kapliczkę małą, wystawioną na miejscu, gdzie św. Jędrzej był umęczony. Mieszkałem w domu małym, porządnym, przy którym był ogród pełen drzew cytrynowych i pomarańczowych, których tak pełno było, jak u nas gruszek i jabłek. Zjadłem ich kilkanaście, lecz gdym dostał mocnej gorączki, która mnie przez dzień w łóżku trzymała, byłem już potem ostrożniejszym. Ruszyliśmy nakoniec z Patras jak jaka karawana; wielbłądów kilkadziesiąt, a konnych do stu można było liczyć, bo służba i eskorta turecka składały orszak. Jechaliśmy górami okropnemi ponad Olimp, śniegiem okryty, przez Epir, Macedonię, Tessalję, Liwadię. Ta ostatnia prowincja opłacała haracz sułtanowi, a była zamieszkała przez bandę rozbójników, którzy przejeżdżających napadali i rozbijali. Lecz dla bezpieczeństwa Sułtan wydawał firman, czyli rodzaj pasportu, który święcie był szanowany. I tak naprzeciw nas wyjechał sam naczelnik tej bandy, bogato po albańsku ubrany, na bardzo pięknym białym koniu, którego grzywa i ogon wstążkami przeplatane, pomarańczowo były umalowane. Przybył z dwoma synami i kilkudziesięcią swoich towarzyszów, którzy z wielką zręcznością wykonywali gonitwy na koniach, przyczem rzucali dżirytami. Naczelnik tej bandy był Albańczyk bardzo przystojny, lat około 40 mający. Miał srebrną na szyi świstawkę, na której skoro się odezwał, natychmiast pokazywali się na górach z janczarkami jego ludzie, a za machnięciem ręki zaraz się chowali. Pokazywał nam wsie i miasteczka, od których kontrybucje wybierał, i przez pięć mil jego panowania i podległego mu kraju sam nas prowadził. Pożegnał nas jak najgrzeczniej, a skręciwszy konia, odjechał ze swoim oddziałem, który rozprószył się na lasy i góry, a my nie mogliśmy się wydziwić, że znajdowaliśmy się dzień cały w towarzystwie grzecznych łotrów, którzy byli postrachem dla całej okolicy. Podróż nasza od Patras, terytorjum już tureckiego, aż do Stambułu konno, bo po górach i ścieszkach żaden powóz nie mógłby był przejechać, trwała sześć tygodni. Na dzień robiliśmy po pięć mil; w połowie drogi, w miejscu odkrytem na płaszczyźnie, jedliśmy śniadanie. Był to rodzaj obozu; ludzie rozkładali ogień, i tak kilka potraw ciepłych zawsześmy mieli. Mihmandar osobno na kobiercu z dwoma Turkami siadał, i codzień jadł pilaw, czyli ryż z baraniną, przedziwnie sporządzony, na który nas kolejno po jednemu zapraszał. Przejeżdżaliśmy przez ową sławną Spartę, i Lacedemonę; miejscowości te zachowały tylko swoje nazwiska; dziś są to ubogie wioski. Domy z kamieni polnych gliną spojonych. Jeden Korynt jeszcze zachował ślady starożytności. Oglądaliśmy ruiny kolumn w zamku na wysokiej górze. W Koryncie odpoczęliśmy dobę, bo na trzeci dzień był rasztak. Na placu stoi wielki bazar drewniany, gdzie Turcy różnego gatunku owoce sprzedają. Figi i rożenki ogromnej wielkości, a bardzo słodkie, są tu najsławniejsze.

O trzy mile były Ateny, dokąd chcieliśmy koniecznie zboczyć, ale Mihmandar nas prowadzący odmówił, twierdząc, że to miasto nie znajduje się na marszrucie, a on dla bezpieczeństwa musi się jej trzymać. Ile razy przejeżdżaliśmy przez jakie miasteczko, znakomitsi Turcy wyjeżdżali naprzeciw, gonitwy sposobem wojennym przed nami pokazując. Broniec często się z nimi ścigał, z czego oni byli bardzo kontenci; muzyka także złożona z piszczałek i benbenków z dzwonkami raziła nasze uszy, gdyż żadnej harmonji, tylko brzmiący hałas wydawała. Podobny to efekt robiło jak dzisiejsza muzyka, która porzuciwszy prostotę, do serca mówiącą harmonję, zamieniła się na sztukę polegającą na zręczności i szybkości palców.

W końcu miesiąca Stycznia wjechaliśmy do stolicy państwa Ottomańskiego o godzinie 10tej wieczór, przez ciasne i źle wybrukowane ulice na przedmieście Pera, gdzie wszyscy posłowie zagraniczni i cudzoziemcy mieszkają. Noc ciemną rozjaśniały tylko światła z okien osób ciekawych i czekających na nasz przyjazd w tak licznym orszaku. Poseł ze dworem swoim stanął w pałacu dla ambasadorów przeznaczonym. Legacja zaś cała miała 4 domy obszerne w pobliżu. W jednym z nich umieściło się nas czterech; każdy miał po kilka pokoi. Na objad chodziliśmy do posła, kawę i kolację każdy miał swoją. Wkrótce zabrałem znajomość z mieszkańcami, szczególnie na drugiem przedmieściu, Galata zwanem; mieszkali tam sami Francuzi, kupcy bogaci i światli, mający swoje własne domy; często mnie oni na swoje smaczne objady zapraszali, na których szczera wesołość panowała, bo przy deserze służba wychodziła, a wtedy ci co mieli głos piękny, z towarzyszeniem chóru ochoczo śpiewali, najwięcej do kieliszka i swojej kochanki — nikt jednak miary picia nie przebrał, chociaż każdemu wolno było pić ile chciał. Z nimi obcując dopiero się w języku francuskim wydoskonaliłem, a gdy poznali mój łatwy i łagodny charakter, widząc przytem, że edukacja moja nie była ukończona, otworzyli mi swoje bibljoteki, zachęcając do czytania wszystkich klasyków francuskich i najsławniejszych innych pisarzy. Żeś nigdy nie byłem próżniakiem i rano poświęcałem czas na czytaniu, im winienem obeznanie się z literaturą i posiadanie tego, co dziś mi nie jest obcem. Resztę dnia przepędzałem na wizytach u ambasadorów i w domach prywatnych. Tam poznałem ambasadora francuskiego, hrabiego Choiseul Gouffier*). Człowiek to wysoce uczony, który wydał „Voyage Pittoresque en Gréce“ z tablicami. Miał jednego syna, który później ożenił się z Potocką, córką Szczęsnego; przy nim był za guwernera Maret**), który potem

*) Choiseul-Gouffier Marya, Gabriel hr. 1752 do 1817 podczas rewolucji schronił się do Rossji, a od Pawła Igo mianowany został dyrektorem Akademji sztuk pięknych i bibljotekarzem dworu. Wydał: Voyage pittoresque en Gréce, Paris 1782 i 1841 t. 3.

**) Maret Hugo (1763—1839) powróciwszy z Konstantynopola został adwokatem parlamentu; poseł do Neapolu, sekretarz konsulów, towarzyszył Napoleonowi w kampaniach, a w r. 1811 mianowany księciem i ministrem spraw zagranicznych, następnie wojny; wygnany powrócił za Ludwika Filipa i został mianowany parem i ministrem spraw wewnętrznych.

tak wielką karjerę zrobił, że został Duc de Bassano. Młody będąc rzuciłem się na kupno koni, a stryj mój, marszałek, przysłał mi 400 dukatów na przyprowadzenie dla niego ogierów. Jakoż kupiwszy zaraz cztery, używałem ich do spacerów, które powszechnie odbywają się na koniach lub w lektykach ciągnionych przez ustrojone w kwiaty woły, lub nareszcie w czółnie po kanale, gdyż ekwipażów pod ów czas nie znano. Na lato wszyscy rozjeżdżają się na kampanje nad morzem leżące. (C. d. n.)

Horoskop.

(l'Horoscope)

z

FRANCISZKA COPPÉE.

Przed starą wróżbiarką, co zmiętych kart stosy
Cisnąwszy na stolik, o jutrze z nich czyta —
Chcąc wiedzieć czem dla nich to jutro zaświta,
Dwie siostry stanęły, pytając o losy.

Z nich jedna brunetka, jak leśnej czernicy
Jagody wygrzane słoneczkiem jesieni,
A druga, z oczyma koloru przestrzeni,
Blondynka jak kłosek podolskiej pszenicy.

„Twój żywot“ do pierwszej wróżbiarka powiada,
„Klęsk ciągłych, niestety, obwieszczam ci strugą!“
„— Czy będę kochaną?“ — „Tak! wiernie i długo!“
„— Więc mniejsza o resztę!“ — Odkrzyknie jej rada.

„Biedniejszej!“ Nad drugą z kolei znów wzdycha
„Los srogi tej nawet odmówi radości!“
„— Czy będę kochała?“ — „Tak! Pełnią miłości!“
„— Więc mniejsza o resztę!“ — Odszepnie jej z cicha.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ II.

(Ciąg dalszy.)

(Rozprawy. — Przeczucia. — Propozycja Ayrtona. — Propozycja przyjęta. — Ayrton z Pencroffem udają się na wysepkę Granta. — Skazańcy Norfolccy. — Ich plany. — Bohaterski zamiar Ayrtona. — Powrót jego. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu!)

Odtąd nie było już najmniejszej wątpliwości co do zamiarów korsarzy. Zarzucili kotwicę w pobliżu wyspy, i rzecz widoczna, że zamierzali nazajutrz łodziami przybić do jej brzegów.

Cyrus Smith i towarzysze jego gotowi byli na wszystko, przy całej jednak odwadze nie zapominali także o przezorności. Wszak obecność ich mogłaby ujść może oku korsarzy, gdyby wylądowawszy tylko na brzeg, nie zapuszczali się dalej w głąb wyspy. Być może że mieli tylko zamiar odnowić swój zapas słodkiej wody z Dziękczynnej, i nie było niepodobieństwem, ażeby most postawiony półtora mili od ujścia rzeki tudzież urządzenie „dymników“ uszły ich uwadze.

Lecz co znaczyła ta flaga wywieszona na czole okrętu? Co znaczył ten strzał armatni? Mogła to być tylko czysta fanfaronada, lecz mogło to być także oznaką zajęcia wyspy w posiadanie! Cyrus Smith wiedział teraz że okręt był silnie uzbrojony. A czemżeż mogli osadnicy wyspy Lincolna odpowiedzieć na działa? Kilkoma strzelbami.

— Bądź co bądź jednak — zauważył Cyrus Smith — stanowisko nasze tutaj jest niezdobyte. Nieprzyjaciel nie będzie mógł znaleźć otworu kanału odpływowego pokrytego teraz trzciną i zaroślami, a tem samem wtargnąć do Pałacu Granitowego.

— Ale nasze plantacje, nasze chlewy, nasza obora, nasze wszystko! — zawołał Pencroff uderzając nogą o ziemię. W kilka godzin mogą to wszystko spustoszyć, zniweczyć.

— Mogą, Pencroffie, — odparł Cyrus Smith — i my nie potrafimy im w żaden sposób przeszkodzić.

— Wielu ich jest? oto pytanie, — rzekł na to korespondent. Jeśli nie więcej jak tuzin, potrafimy ich odeprzeć, lecz jeśli ich jest czterdziestu, pięćdziesięciu, lub więcej!...

— Panie Smith, rzekł na to Ayrton przystępując do inżyniera, pozwolisz mi pan jednę rzecz?

— Jaką, przyjacielu?

— Udać się na okręt i przekonać się naocznie o sile załogi.

— Ależ, Ayrtonie... odparł wahając się inżynier, narazisz twe życie...

— Czemużby nie, panie Smith?

— To byłoby więcej niźli twoim obowiązkiem.

— Bo ja mam więcej do spełnienia, niż sam obowiązek, odparł Ayrton.

— Chcesz dopłynąć czółenkiem aż do samego okrętu? zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, panie, pójdę wpław. Czółno nie przesunęłoby się tam, gdzie się prześlizgnie człowiek.

— Czy wiesz o tem, że okręt oddalony jest pięć ćwierci mili od brzegu? zapytał Harbert.

— Jestem dobrym pływakiem, panie Harbert.

— Ależ powiadam ci, że się narażasz na śmierć, rzekł po raz wtóry inżynier.

— Mniejsza o to, odparł Ayrton. Panie Smith, proszę pana o to, jako o łaskę. To może jedyny dla mnie sposób podniesienia się we własnych oczach!

— Idź więc, Ayrtonie, odparł inżynier, czując że odmowa byłaby głęboko zasmuciła dawnego zbrodniarza, który teraz został uczciwym człowiekiem.

— Pójdę z tobą, rzekł Pencroff.

— Niedowierzacie mi! zawołał żywo Ayrton. Poczem dodał pokornie:

— Niestety!

— Nie! nie! odparł żywo inżynier, nie, Ayrtonie! Pencroff nie wątpi o tobie! Źle zrozumiałeś jego słowa.

— Tak jest, rzekł marynarz, proponuję Ayrtonowi odprowadzić go tylko do wysepki. Być może, jakkolwiek nie jest prawdopodobnem, że który z tych łotrów wylądował na niej, a w takim razie dwóch ludzi nie będą zbytecznymi, aby przeszkodzić alarmowi. Będę oczekiwał Ayrtona na wysepce, on zaś uda się sam na okręt ponieważ podjął się tego.

Ułożywszy się w ten sposób, poczynił Ayrton natychmiast przygotowania do wyprawy. Zamiar jego był zuchwały, ale mógł się powieść wśród ciemności nocnej. Popłynąwszy do okrętu mógł Ayrton, uwiesiwszy się na drabince sznurowej poświadomić się o liczbie, a może i o zamiarach korsarzy.

Ayrton z Pencroffem, odprowadzeni przez resztę towarzyszów, zeszli nad brzeg morza. Ayrton zrzucił z siebie suknie i natarł ciało tłustością, aby złagodzić tym sposobem temperaturę wody, która była jeszcze zimną. Łatwo bowiem mógł pozostać w niej kilka godzin ciągiem.

Pencroff z Nabem udali się tymczasem po czółno, przycumowane o kilkaset kroków wyżej u brzegu Dziękczynnej, a gdy powrócili Ayrton był już gotów.

Zarzucono mu okrycie na plecy, poczem wszyscy osadnicy po kolei uścisnęli mu dłoń.

Ayrton z Pencroffem wsiedli do czółna.

Była godzina wpół do jedenastej w nocy, gdy zniknęli w ciemnościach. Reszta towarzyszy udała się do dymników, by ich tam oczekiwać.

Kanał przebyto z łatwością i czółenko wylądowało na przeciwległym brzegu wysepki.

Zrobili to nie bez pewnej ostrożności, na wypadek, gdyby korsarze zaczaili się w tem miejscu. Wkrótce jednak przekonali się że wysepka była całkiem pustą. Ayrton z Pencroffem przeszli ją więc wzdłuż szybkim krokiem, płosząc po drodze ptactwo gnieżdżące się po skałach: poczem Ayrton, bez wahania, rzucił się w morze i cicho, bez najmniejszego szelestu, płynął ku okrętowi, którego położenie zdradzało kilka świateł niedawno dopiero zapalonych.

Pencroff tymczasem ukrył się na brzegu w wydrążeniu skalnem i oczekiwał powrotu towarzysza.

Ayrton silnem ramieniem porał fale i posuwał się lekko, bez najmniejszego szmeru. Głowę zaledwie wystawiał z wody a oczy utkwił w ciemną masę okrętu, którego światła odbijały się w morzu. Myślał tylko o obowiązku, który przyjął na siebie, a nie zważał bynajmniej na niebezpieczeństwo, na jakie narażał się nietylko na samym okręcie, ale i w tej okolicy morza nawiedzanej często przez rekiny. Prąd wody niósł go i szybko oddalał od brzegów.

W pół godziny później Ayrton, niepostrzeżony i niedosłyszany, zręcznie lawirując, dobił do okrętu i chwycił się jedną ręką drabinki sznurowej. Odetchnął trochę, poczem wspinając się po łańcuchach, dostał się na wierzch burty. Tu schło kilka par spodni marynarskich. Przywdział jednę z nich, i usadowiwszy się dobrze słuchał.

Na pokładzie okrętu nie spano wcale. Przeciwnie. Rozmawiano, śpiewano, śmiano się. Następujące słowa, zmięszane z przekleństwami, doszły do ucha Artona:

— Dobry nabytek, ten nasz dwumasztowiec!

— Dzielnie chodzi nasz *Speedy**) nie ma co mówić! Usprawiedliwia swą nazwę!

— Cała marynarka norfolcka może za nim wyprawić gonitwę — nie dopędzi go!

— Hurra! niech żyje nasz dowódca!

— Hurra! niech żyje Bob Harvey!

Łatwo wystawić sobie, jakie wrażenie wywarł na Ayrtonie ten dosłyszany urywek rozmowy, gdy sobie przypomnimy, że ów Bob Harvey był jego dawnym kolegą australskim, zuchwałym marynarzem, który poszedł dalej drogą zbrodniczych rozbojów. Bob Harvey opanował

---

*) Wyraz angielski, oznacza „czynny,“ „skrzętny.“

był ten statek w okolicach wyspy Norfolk, statek naładowany bronią, amunicją, narzędziami rozmaitego gatunku, które przewiezione być miały na jednę z wysp sandwichskich.

Cała jego banda wsiadła na okręt, i ze skazańców zostawszy korsarzami, nędznicy ci grasowali po Cichym Oceanie, rozbijając statki, mordując załogi, dziksi i okrutniejsi od samych Malajczyków!

Łotry ci rozprawiali głośno, opowiadając sobie nawzajem swe bohaterskie czyny i pijąc przytem bez miary, i oto, co Ayrton wyrozumiał z ich rozmowy:

Czynna załoga *Speedy'ego* składała się z samych skazańców angielskich, zbiegłych z Norfolk. Co to jest Norfolk?

Pod 29° 2' szerokości południowej a 165° 42' długości wschodniej, na wschód od Australji, leży mała wysepka, mająca sześć mil obwodu, na której wznosi się góra Pitt tysiąc sto stóp nad powierzchnią morza. To właśnie jest wyspa Norfolk, gdzie znajduje się więzienie, w którem osadzani bywają najniepoprawniejsi zbrodniarze angielscy. Jest ich tam około pięciuset, poddanych żelaznej dyscyplinie, pod grozą najsroższych kar; strzeże ich zaś stu pięćdziesięciu żołnierzy i stupięćdziesięciu urzędników pod rozkazami gubernatora. Nie podobno wymarzyć sobie okropniejszego steku zbrodniarzy. Czasami — jakkolwiek rzadko — pomimo najczujniejszej straży, kilkom z nich udaje się uciec na okrętach, które opanowują gwałtem, i wówczas wałęsają się po Archipelagach polynezyńskich.

Tak właśnie postąpił sobie Bob Harvey i jego towarzysze. Tak niegdyś chciał zrobić Ayrton. Bob Harvey opanował gwałtem dwumasztowiec *Speedy*, stojący kotwicą koło wyspy Norfolk; załogę w pień wycięto, i od roku już okręt ten, zostawszy statkiem korsarskim, wałęsał się po Cichym Oceanie, pod dowództwem Harveya, niegdyś kapitana statku kurjerskiego, a dziś rozbójnika morskiego, którego dobrze znał Ayrton!

Zbóje po większej części zgromadzeni byli w kajucie oficerskiej, na tyle okrętu, niektórzy z nich jednak rozciągnieni na pokładzie, głośno rozmawiali między sobą.

Z rozmowy tej, przerywanej gęstemi okrzykami i libacjami, dowiedział się Ayrton, że czysty przypadek tylko zapędził *Speedy'ego* w okolicę wyspy Lincolna. Bob Harvey dotąd nigdy jeszcze nogą na niej nie stanął, lecz jak to przewidział był Cyrus Smith, napotkawszy po drodze tę nieznaną wyspę, której żadna mapa nie wskazywała, postanowił zwidzić ją, i w razie, gdyby się okazała przydatną, uczynić z niej stację i port dla swojego statku.

Czarna flaga wywieszona na przodzie okrętu i strzał armatni, dany na podobieństwo okrętów wojennych w chwili, gdy wyświecają swe barwy, były prostem pyszałkostwem korsarskiem. Nie był to więc żaden sygnał, i dotychczas nie istniały żadne stosunki między zbiegami norfolskimi a wyspą Lincolna.

Tak więc posiadłościom naszych osadników zagrażało wielkie niebezpieczeństwo. Rzecz oczywista, że wyspa, ze swemi źródłami słodkiej wody, swą małą przystanią, swemi różnorodnemi zasobami, które tak wybornie umieli wyzyskać osadnicy, swemi kryjówkami w głębi Pałacu Granitowego, mogła tylko przypaść do smaku zbójcom; w ich ręku stałaby się wyśmienitem schronieniem zbójeckiem, a przez to samo, że była nieznaną, zapewniałaby im na długi czas może, bezpieczeństwo i bezkarność. Oczywistą rzeczą było także, że nie oszczędzaliby również życia osadników, i że pierwszym krokiem Boba Harvey'a i jego wspólników byłoby wymordować ich wszystkich bez litości. Cyrusowi Smithowi i jego towarzyszom nie pozostawała nawet możność ucieczki i ukrycia się w głębi wyspy, zbójcy bowiem mieli zamiar osiąść na niej i nawet w razie, gdyby *Speedy* odpłynął na wyprawę, pozostałoby niezawodnie kilku z nich załogą. Trzeba więc było walczyć z nimi, trzeba było wygubić do ostatniego tych nędzników, niegodnych litości, przeciwko którym każdy środek byłby dobrym i pozwolonym.

Tak sądził Ayrton w przekonaniu, że Cyrus Smith podzielałby jego zapatrywania.

Lecz czy możebnym był opór, a wreszcie zwycięstwo? Zależało to od uzbrojenia okrętu i od wielkości załogi.

O tem więc postanowił Ayrton bądź co bądź przekonać się koniecznie, a gdy po godzinie krzyki poczęły się uciszać, a wielka część zbójców pogrążoną już była w pijanym śnie, Ayrton, nie wahając się chwili, wyszedł na pokład *Speedy'ego*, na którym z powodu pogaszonyh latarni panowała najzupełniejsza ciemność.

Wydrapał się na burtę, i po przednim maszcie wylazł na podwyższenie znajdujące się na przodzie okrętu. Spuściwszy się ztamtąd pomiędzy zbójców w nieładzie leżących, obszedł dokoła cały okręt i przekonał się, że *Speedy* uzbrojony był czterma działami, ciskającemi jak się zdawało ośmio- do dziesięciofuntowe kule. Obmacawszy je, przekonał się nawet, że były to działa odtylcowe, nowego gatunku, których użycie jest łatwe a skutek straszliwy.

Co się tyczy ludzi, leżących na pokładzie, to musiało ich być około dziesięciu, ale prawdopodobnie daleko więcej musiało spać w środku okrętu. Zresztą, sądząc po głosach, zdawało się Ayrtonowi, że ich było około pięćdziesięciu. Na sześciu osadników wyspy Lincolna za wiele! Lecz wreszcie, dzięki poświęceniu Ayrtona, Cyrus Smith miał być powiadomionym dokładnie o sile nieprzyjacielskiej, i zastosować do niej dalsze postępowanie.

Nie pozostawało już zatem nic Ayrtonowi, jak tylko powrócić do towarzyszy i zdać sprawę z przyjętego na się posłannictwa; w tym celu miał już powracać na przód okrętu, by spuścić się ztamtąd w morze.

Wtem, człowiekowi temu, który — jak sam powiedział — chciał spełnić coś więcej niż obowiązek, wpadła do głowy myśl bohaterska. Powziął zamiar, poświęcić swe życie, by ocalić wyspę i osadników. Widocznem było, że Cyrus Smith nie mógł stawić oporu pięćdziesięciu zbójcom, opatrzonym w broń wszelkiego rodzaju, i że ci, bądź wtargnąwszy przebojem do Pałacu Granitowego, bądź wygłodziwszy oblężonych tamże osadników, musieli w końcu odnieść nad nimi zwycięstwo. I wtedy, wyobraził sobie swoich zbawców, tych, którzy go uczynili napowrót człowiekiem i to człowiekiem uczciwym, wymordowanych bez litości, ich pracę obróconą w niwec, wyspę ich przemienioną w jaskinię zbójecką! Powiedział sobie, że koniec końców on sam jest najpierwszą przyczyną całego tego nieszczęścia, dawny bowiem towarzysz jego, Bob Harvey, został tylko wykonawcą jego własnych pomysłów, i na tę myśl uczucie strasznej grozy ogarnęło całe jego jestestwo. Owładnęła nim niepohamowana żądza wysadzenia w powietrze okrętu ze wszystkiem, co się na nim znajdowało. On sam wiedział, że zginie w tym wybuchu, lecz czuł, że spełni swój obowiązek.

Nie wahał się więc ani chwili. Nie trudno było dostać się do składów prochu, położonych zawsze w tyle okrętu. Na prochu nie powinno było zbywać okrętowi trudniącemu się podobnem rzemiosłem, a malutka iskierka wystarczała, by go w jednej chwili obrócić w niwec.

Ayrton ześliznął się ostrożnie na międzypomost, na którym leżało wielu śpiących zbójów, bardziej pijaństwem, niżeli snem ubezwładnionych. Latarnia paliła się u stóp wielkiego masztu, dokoła którego na kółkach wisiała broń palna wszelkiego rodzaju.

Ayrton zdjął z kółka jeden rewolwer, i zabrał go, przekonawszy się, że był nabity i zaopatrzony kapslą. To mu wystarczało do spełnienia dzieła zniszczenia. Poczołgał się więc ku tyłowi okrętu, aby się módz dostać popod kajutę oficerską, gdzie znajdować się musiały zasieki z prochem.

Nie podobna było jednak przebyć ten między-pomost, na którym zupełna prawie panowała ciemność, nie potrąciwszy o jakiego zbója mniej twardo śpiącego. Ztąd zdarzały się przekleństwa i kułaki. Kilkakrotnie nawet musiał się Ayrton zatrzymywać. W końcu jednak dotarł do ściany przegradzającej tylny przedział okrętu i znalazł drzwi prowadzące do składów prochu.

Ayrton musiał otworzyć je gwałtem. Trudno to było zrobić bez hałasu, gdyż trzeba było rozbić kłódkę. Lecz w silnej dłoni Ayrtona kłódka pękła i drzwi się otwarły...

W tej samej chwili uczuł Ayrton czyjąś rękę na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał go szorstkim głosem człowiek słusznego wzrostu, który usuwając się sam w cień, zaświecił raptownie Ayrtonowi latarką w oczy.

Ayrton odskoczył w tył. Przy chwilowym blasku latarki poznał dawnego wspólnika swych zbrodni, Boba Harvey'a, który ze swej strony, mając Ayrtona zapewne już oddawna za umarłego, nie poznał go wcale.

— Co tu robisz? — zapytał Bob Harvey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Lecz Ayrton nie odpowiedziawszy ani słowa, odtrącił silnem pchnięciem herszta zbójów, a sam usiłował wtargnąć do prochowni. Jeden strzał rewolwerowy pomiędzy beczki z prochem i wszystkoby się było skończyło!...

— Do mnie, chłopcy! huknął Bob Harvey

Dwuch lub trzech zbójców przebudzonych, zerwało się na nogi, i rzuciwszy się na Ayrtona, próbowało go powalić; Ayrton potężnem ramieniem uwolnił się z ich objęć. Zagrzmiały dwa strzały rewolwerowe i dwóch zbójców potoczyło się na ziemię; lecz w tej samej chwili pchnięcie noża, którego nie mógł uniknąć, skaleczyło Ayrtona w ramię.

Ayrton widział, że nie mógł już teraz wykonać swojego przedsięwzięcia. Bob Harvey zamknął napowrót drzwi od prochowni, a na średnim pomoście zrobił się ruch, świadczący o powszechnem ocknięciu się zbójców. Ayrton musiał zachować swe życie, by módz walczyć później przy boku Cyrusa Smitha. Pozostawała mu więc tylko ucieczka!

Lecz czy podobną była jeszcze ucieczka? W każdym razie była ona wątpliwą, lecz Ayrton postanowił próbować wszystkiego, aby tylko powrócić do swych towarzyszy.

Pozostawały mu jeszcze cztery strzały. Dwa już wypalił, jeden z nich skierował był na Boba Harvey'a, lecz albo go wcale nie trafił, albo tylko lekko; teraz Ayrton, korzystając z chwilowego cofnięcia się nieprzyjaciół, wskoczył na drabinkę w luce, chcąc dostać się na pokład okrętu. Przechodząc koło latarni, stłukł ją uderzeniem kolby, przez to powstała zupełna ciemność, która mu dopomagała do ucieczki.

W tej chwili dwóch czy trzech korsarzy, pobudzonych hałasem, złaziło po drabince na dół. Piąty strzał dany z rewolwera przez Ayrtona strącił jednego z nich z drabinki, a reszta rozpierzchła się, nie pojmując wcale co się dzieje. Ayrton w dwóch susach stanął na pokładzie okrętu, a w trzy sekundy później, wypaliwszy ostatni strzał w łeb zbójowi, który go chwycił był za kark, przeskoczył parapet i rzucił się w morze.

Zaledwie sześć sążni od statku odpłynął, posypały się gradem do koła niego kule.

Wyobraźmy sobie, jakiego uczucia doznał Pencroff ukryty między skałami na wysepce, jakiego Cyrus Smith, korespondent, Harbert i Nab schowani w dymnikach, gdy usłyszeli huk strzałów na pokładzie statku! Wybiegli wszyscy na brzeg morza, ze strzelbami na ramieniu, gotowi odeprzeć każdy napad.

Dla nich nie istniała już żadna wątpliwość! Byli pewni, że Ayrton schwytany i zamordowany został przez korsarzy, i że łotry ci, korzystając z ciemności, próbują wylądować na wyspę.

Upłynęło pół godziny wśród śmiertelnej trwogi. Strzały ucichły, lecz ani Ayrton, ani Pencroff nie powracali. Może korsarze napadli wysepkę? Może należało biedź w pomoc Ayrtonowi i Pencroffowi? Ale jak? Morze było w tej chwili w przypływie, niepodobna więc było przebyć wpław kanału. Czółna drugiego nie mieli. Łatwo więc wyobrazić sobie okropny niepokój Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Wreszcie, około godziny wpół do pierwszej z północy, przybiło do brzegu czółno z dwoma ludźmi. Byli to Ayrton, lekko raniony w ramię, i Pencroff, zdrów i cały; — z otwartemi rękami czekali na nich przyjaciele.

Weszli wszyscy do dymników. Tu opowiedział Ayrton całą rzecz nie tając także swego zamiaru wysadzenia okrętu w powietrze.

Wszystkich dłonie wyciągnęły się ku Ayrtonowi, który nie taił wcale, do jakiego stopnia położenie ich było groźne. Korsarze zostali zaalarmowani. Wiedzieli już teraz, że wyspa Lincolna jest zamieszkałą. Można więc było być pewnym, że nie wylądują inaczej, jak tylko w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni, że nie będą oszczędzać nikogo i niczego. Osadnicy wpadłszy raz w ich ręce, nie mogli spodziewać się żadnej litości!

— Więc dobrze! potrafimy umrzeć! rzekł korespondent.

— Wróćmy zatem i czuwajmy, odparł inżynier.

— Jest jaka możliwość, wyjść cało z tej matni, panie Cyrusie? zapytał marynarz.

— Jest, Pencroffie.

— Hm! w sześciu na pięćdziesięciu!

— Tak! w sześciu!... nie licząc...

— Kogo? zapytał Pencroff.

Cyrus zamiast odpowiedzi, wskazał tylko ręką w niebo.

(C. d. n.)

Przegląd naukowy

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

Dzisiejszy nasz przegląd rozpoczynamy kwestją, która wielkiej jest ważności tak dla zoologa, botanika, jak w ogóle dla badacza przyrody — kwestją zależności roślinnego świata od owadów i nawzajem tych od roślin. Jest to sprawa którą Konrad Sprengel pierwszy poruszył, a która dziś dosyć dokładnie zbadana, jest bodźcem do nowych poglądów na świat, na naturę.

Silna wiara Sprengla „że mądrość Stwórcy i jednego włoska nie stworzyła bez celu, napróżno, pobudziła go do badań i dociekań wzajemnego stosunku zależności tych dwóch na pozór zupełnie obojętnych dla siebie światów. On pierwszy spostrzegł, że budowa roślin jest poniekąd zastosowaną do budowy owadów i do ich potrzeb życiowych. Siedmdziesiąt lat od spostrzeżenia Sprengla ubiegło — aż oto zjawia się Darwin, przyrodnik, obdarzony genialnym spostrzegawczym zmysłem i powodowany także przekonaniem „że każda, choćby najdrobniejsza organizmu cząstka musi mieć jakiś cel i przeznaczenie“ obszerne na tem polu robiąc doświadczenia, dowiódł, że wiele szczegółów w budowie owadów i roślin, tylko przez wzajemną tych dwóch światów zależność i wspomaganie da się objaśnić. Dowiódł, że te rośliny, które najsilniej przyciągają do siebie owady, potrzebują ich dla ukształtowania nasienia. Sprengel za pewnik uważał, że kwiat dla owadu a owad dla kwiatu są stworzone; Darwin dowiódł, że rozwój ich nawzajem od siebie zależy, że np. koniczyna czerwona (trifolium pratense), ta powszechnie znana roślina i tak rozpowszechniona, potrzebuje odwidzin trzmieli do wydania nasienia, że usunięta z pod tego wpływu, nie wydaje ani jednego ziarnka, a wiele owadów bez kwiatów słodyczy egzystować by nie mogło. Owady, jak wiele innych zwierząt, lubią słodycz, a przez barwę, połysk i zapach kwiatu przyciągnięte, wysysają zeń ulubiony nektar, przenosząc pyłek na swoich szczękach, nóżkach, grzbiecie itp. z jednego kwiatka na drugi, sprawiają zetknięcie się jego ze słupkiem, a tem samem pośrednicza w zapłodnieniu tak do jednego gatunku należących roślin jak też do rozmaitych. Za współudziałem więc owadów następuje zapłodnienie, które wiatrom powierzone, albo by nieregularnie się odbywało, albo wreszcie nigdyby nie nastąpiło; za ich współudziałem powstają nowe odmiany roślin, z krzyżowania dwóch gatunków, za ich przyczyną odbywa się przemiana tych ostatnich! Tak owad jak kwiat z postępem czasu doskonalą się nawzajem, jeden, aby łatwiej dotrzeć do źródła słodyczy, drugi, aby go łatwiej obciążyć swym pyłkiem, w zamian za wyświadczoną przysługę. Nogi, szczęki itp. przyrządy owadu przez pewien przeciąg pokoleń przedłużają się na mocy praw dziedziczności i przystosowania do nowouzyskanych warunków bytu, na mocy tych samych praw udoskonalają się z jednej strony męskie części zapłodne rośliny: pręciki i pylniki, aby łatwiej zetknąć się mogły z częściami ciała owadu, i obsypać je pyłkiem, z drugiej żeńskie: słupek i zawiązek, aby przyjąć przyniesiony przez owad pyłek i wytworzyć nasienie. — Tam, gdzie owad dostać się nie może do słodyczy, psuje on kwiat, przegryzając sobie dziurkę, jak to czyni pszczoła, przyciągnięta czerwoną barwą fuksji. — Lecz za to rośliny mszczą się na owadach. Przez długie wieki pokoleń wyrobiły sobie z nich niektóre straszliwą metodę obrony przeciwko chciwym ich słodyczy łupieżcom, a obroną tą jest — pochwycenie i pożarcie napastnika, o czem zresztą uważny czytelnik „*Tygodnia*“ już dwa razy miał sposobność przeczytać w szpaltach tego pisma, a o czem Darwin właśnie w tych czasach całe dzieło napisał, zebrawszy materjał doń ze swoich własnych i Hookera doświadczeń czynionych w Anglji.

Nas więcej jeszcz interesują wyniki doświadczeń czynionych przez p. Ferdynanda Cohna w Szlązku pruskim z krajowemi roślinami. Cohn zachęcony zadziwiającym rezultatem, do którego Burdon-Sanderson przy badaniu liści *muchołówki* (*Dionaea muscipula*) doszedł, przedsięwziął zbadać tak podobną do niej naszych stawów wodną roślinę Aldrovanda vesioulosa.

Jeszcze w 1873 r. spostrzegł B. Stein, że liście Aldrovandy nie są zawsze stulone, zamknięte, jak dotąd sądzono, lecz że przy silnym wzroście rośliny i wysokiej temperaturze, rozpościerają się płasko i w tym stanie będąc podrażnione, nagle się kurczą, zwijają i zamykają, podobnie do podrażnionej małży. Cohn zaś sprawdzając to, spostrzegł, że one są łapką dla zwierząt wodnych jak: skorupiaki, owady i ich poczwarki, że te ostatnie dotknąwszy delikatnych włosków, któremi górna, czyli wewnętrzna powierzchnia liścia jest pokrytą, zmuszają liście do skurczenia się i mocnego zamknięcia za pomocą takich samych włosków na brzegach umieszczonych. Przy zamknięciu się liści jednokomórkowe te włoski na brzegu liścia, przyjmują kierunek ku wewnątrz, a skrzyżowane z takiemiż drugiego liścia, stanowią mocny zamek, którego schwycona zdobycz nie jest w możności otworzyć. Tak przymknięte liście przedstawiają kulę wewnątrz napełnioną wodą, a zamknięte w niej zwierzę po długiem szamotaniu, często aż 6 dni trwającem, musi umierać i stać się pastwą rośliny, pozostawiając jedynie ślad po sobie w chitinowym szkielecie, którego resztki zawsze na starych liściach Aldrovandy są widoczne.

Jeszcze dziwniejszą jest dotąd niezupełnie zbadana budowa liści rośliny, znanej pod nazwiskiem *Utricularia vulgaris*, które również stanowią więzienie dla wodnych zwierząt. Roślina ta hodowana w wodzie, w której nie było żadnych zwierząt, posiadała pęcherzyki na liściach zupełnie próżne, przeniesiona do wody, w której żyły małe skorupiaki, już po kilkogodzinnym tam pobycie miała niektóre z pęcherzy liściowych pełne rozmaitych zwierzątek i wodorostów. Pęcherzyki liści tej rośliny szczególną odznaczają się budową i zadziwiającem urządzeniem tego niebezpiecznego więzienia dla chciwych łupu małych istotek. Są to okrągłe bąbelki z dwóch jam złożone. Pierwsza, jakoby jama gębowa, ograniczona jest u dołu wyniosłością, szczęką, w kształcie podkowy i zamknięta od góry zastawką, która zupełnie kształt języczka posiada, szczelnie pasującego do wykroju szczęki. Zastawka, ta zwana podniebieniem, odchyla się tylko od zewnątrz, daje więc możność owadowi li wejścia do jamy gębowej, nie odchylając się zaś w przeciwnym kierunku stanowi nie do przebycia zaporę dla uwięzionego. Cała ta pierwsza jama na kształt paszczy, pokryta jest trzy-komórkowemi włoskami, a ich wierzchołki wydają z siebie śluz i zdaje się, iż one stanowią przynętę dla niedoświadczonego ciekawca. Paszcza łączy się z drugą jamą,

*

większą od niej i stanowiącą coś na kształt żołądka. Jest to również okrągła jama, zawsze wodą napełniona, w której złapane zwierzę ostatecznie grób znajduje.

Co zaś do pytania czy Aldrovanda i Utricularia rzeczywiście karmią się złapanemi zwierzętami, p. Cohn pozytywnie nie odpowiada, przypuszcza jednak możebność tego zjawiska z tego głównie powodu, iż obie te rośliny nie mając zupełnie korzeni, prawdopodobnie za pomocą liści tylko muszą się karmić.

A teraz posłuchajmy nowej teorji p. bar. N. Schillinga o powstawaniu wiatrów.

Wiatry, które pod nazwą „passatów" znane, przyczyniają się do ruchu atmosfery i prądu wód oceanów, po większej części osobno dotąd badano, choć jest bardzo prawdopodobnem, że ruch obu tych składników ziemskiego naszego świata — elastycznego i płynnego, w jednym źródle początek bierze, mianowicie w różnicy gatunkowego ich ciężaru, spowodowanego nie równą temperaturą, a w morzu także niejednakową zawartością soli. Schilling, kapitan rosyjskiej marynarki stara się nam dowieść, że jakkolwiek przyczynę tę uważa za możebną, to jednakowoż sam czynnik ten, jego zdaniem nie jest w stanie tak gwałtownych wywoływać prądów wód i powietrza. Zmianie temperatury przyznaje on tylko moc przyspieszenia lub hamowania już powstałych prądów tych dwóch żywiołów. Nie mniej małoważnym czynnikiem jest podług p. S. sam ruch osiowy ziemi, natomiast siła przyciągania jaką słońce i księżyc wywierają na ziemię — ta sama siła, która przypływ i odpływ morza wywołuje, i z nią razem ruch osiowy globa mają byc źródłem ruchu powietrza i wód na ziemi. Nowa ta hypoteza i przewrót w pojęciach z fizyki naszego planety, jaki z konieczności wywoła, ma mieć zdaniem kompetentnych w tej mierze badaczów przyrody szanse powodzenia głównie dla tego, że wynikające z niej możebne kierunki wiatrów i prądów wód morskich zgadzają się rzeczywiście z kierunkami ich w przyrodzie. Kształt i budowa brzegów i dna morskiego, jak również głębokość oceanu muszą, rozumie, się, na kierunek prądu wód wielki wywierać wpływ, a uwzględnianie tych przeszkód w każdej hypotezie o tym przedmiocie jest koniecznem.

W końcu chcemy jeszcze przedstawić czytelnikowi ciekawe spostrzeżenia widmowe i fizjologiczne, jakie pp. Crocé-Spinelli i Sivel w napowietrznej swej podróży balonem „Etoile polaire" poczynili, i które Paryskiej Akademji Nauk przed niedawnym czasem nieomieszkali zakomunikować.

P. Janssen chcąc zbadać charakterystyczne dla pary wodnej czarne linje, które w spektroskopie po obu stronach podwójnej linji sodowej występują, prosił p. C. Spinellego, aby w podróży swej balonem zechciał je uważać, ponieważ zdaniem p. Janssena linje te w większej odległości od ziemi, gdzie już pary wodnej w atmosferze niema, zginąć powinne. Tu nadmienić wypada, że O. Secchi te same linje zauważał przy widmowej analizie plam słonecznych, i gdyby rzeczywiście miał rację, powinne takowe i po oddaleniu się od ziemi niezmiennemi pozostać. Badania pana Spinelli zgadzają się jednak z poglądem p. J. W odległości 5500 metrów od ziemi linja na prawo będąca od charakterystycznej dla sodu, zaczęła znikać, a w oddaleniu 7000 metrów i druga zginęła, a jednocześnie linje widma C. i szczególnie F. wyraźniej się przedstawiały, niż na powierzchni ziemi, czerwona zaś barwa pociemniała i trudno w niej już było rozeznać linje B. i C.

Stosownie do ułożenia aparatu było widmo rozmaite: na wysokości 6000 metrów można było dojrzeć ciągłe, nieprzerywane linjami żółte widmo, a badanie słońca bylo możebnem za pomocą tego spetroskopu tylko przy ustawieniu lunety pod kątem 5—7°.

Obaj podróżnicy opierając się na teorji Berta, który zaleca wdychanie tlenu w wysokich regionach atmosfery dla zapobieżenia wpływom rozrzedzonego powietrza, mogącym w stan omdlenia przyprowadzić, wzięli z sobą małe baloniki napełnione tlenem.

Pod względem wrażeń doznawali ci panowie takich samych, jakim podlegali pod kloszem z rozrzedzonem powietrzem, pod którym poddali się doświadczeniom Berta przed podróżą, wytrzymując zmniejszone ciśnienie powietrza o 304 mil. W oddaleniu jednak 300 milimetrów od ziemi ogólna słabość i nudota opanowała podróżnych i to większa aniżeli pod kloszem Berta, co jednakowoż przypisują większej pracy, wpływom o wiele niższej temperatury i dłuższemu pozostawaniu w tych wysokich regjonach atmosfery. Podczas bowiem podróży, temperatura wynosiła 22—24° niżej zera, gdy pod kloszem +13°; dalej, w kloszu pozostawali tylko godzinę, co odpowiada napowietrznej podróży do wysokości 700 metrów, podczas gdy podróż ich w balonie trwała dwie godziny 40 minut, a w godzinę i trzy kwadranse już 5.000 metrów wysokości po nad poziom dościgli. Tu wypada nadmienić, że w początku podróży oddychali oni mięszaniną jedną z 40% tlenu i 60% azotu się składającą i drugą, która 30 cz. azotu i 70 tlenu zawierała, a które im p. Bert dostarczył, ponieważ oddychanie pod kloszem czystym tlenem, wywoływało na nich następstwa podobne do następstw z upicia się.

W wysokości 4600—6000 metrów użyli pierwszej mięszaniny, wyżej zaś, gdy szczególnie p. Crocé—Spinelli mięszanina ta nie wystarczała, poczęto drugiej używać, aż nareszcie w najwyższych sferach wzięto się do baloników napełnionych czystym tlenem. Tak trzymając w ustach idące od tych baloników rurki kauczukowe, mogli od czasu do czasu zębami te ostatnie ścisnąć i oddychać otaczającem je powietrzem. Sivel zrzucając balast z balonu, a nie mogąc żadnym gazem oddychać, prócz powietrza, utrzymuje, iż worek 15 kilogramów ważący, wydawał mu się cięższym nad 100. Tymczasem działanie tej podróży na p. Crocé-Spinelli, bardzo lymfatycznego usposobienia, manifestowało się inaczej niż na p. Sivel, człowieku silnym i sangwinistycznego temperamentu. Gdy nie mógł już oddychać, musiał siąść zmęczony na balaście i tak siedząc spokojnie, bez ruchu, kontynuował swe spostrzeżenia. Po dwunastu westchnięciach tlenem mógł już wstać, wesoło gawędził i był w stanie znowu najdelikatniejsze badania słońca wykonywać z największą uwagą, a umysł jego przy tem okazywał się bardzo spotrzegawczym a pamięć wyborną. Przy każdem widmowem badaniu wciągał on w siebie pewną ilość tego ożywczego gazu, w skutek czego przedstawiające mu się przed tem niewyraźne linje w widmie, na raz występowały jak najwyraźniej.

Najinteresowniejsze jednak działanie tlenu na p. Crocé-Spinelli okazało się wtedy, gdy jedząc, wdychał w siebie po trosze tego gazu. W zamiarze ulżenia sobie, gdy mu nieprzyjemnie zimne i rozrzedzone powietrze na przemian dokuczać zaczęło, sprobował on jeść. Rezultat okazał się z początku niepomyślny. Gdy jednak jednocześnie z jedzeniem począł wdychać tlen, powrócił apetyt i normalne trawienie. Co zaś do pulsu, to zauważył on u siebie w oddaleniu 6500 do 7300 metrów od ziemi, że takowy przed westchnięciem tlenu wynosił 140 uderzeń na minutę, bezpośrednio zaś po nasyceniu płuc tym gazem tylko 120, gdy na ziemi w zwyczajnych warunkach życiowych tętnił przeciȩciowo 80 razy.

Żaden z podróżnych nie doznał krwotoku z nosa, warg i uszu, na co, jak wiadomo, uskarżał się Gay-Lussac, choć twarze ich były bardzo czerwone, a śluzowe błony nawet czarne od krwi napływu. Zarówno w balonie jak w kloszu Berta doznawali oni chwilowo palenia twarzy i kłucia w głowie, a czoło czasami w kleszcze zdawało się być ujętem, i jakby sztabą w nadbrwiowej okolicy ściskanem, które to uczucia wreszcie po wciągnieniu w siebie tlenu po większej części zupełnie ustawały.

Spadanie na ziemię odbyło się bez balastu i bez tlenu; zapas tego ostatniego w $^2/_3$ wyczerpniętym został przez Spinellego. W wysokości 7000 metrów, gdy temperatura podniosła się do —7° Sivel zaczął drżeć cały i opanowały go mdłości, i tak w skurczonej postawie, z rozwartemi ustami dłuższy czas pozostawał, gdy towarzysz jego uczuwał tylko dokuczliwe zimno, z powodu szybkiego przerzynania powietrza. Obydwaj zarówno drżeli obecnie z zimna, gdy przeciwnie w wyższych regjonach, przy—22° małego tylko uczucia chłodu doznawali, a to dla tego, że wówczas powietrze było spokojne, teraz zaś wskutek nagłego spadania, ruch powietrza był wielki. Mdłości p. Sivela, które prawdopodobnie z nadużycia sił przy pracy powstały, ustały zupełnie, gdy balon zniżył się na wysokość 2500 metrów od ziemi.

POGADANKI.

VI.

Smutny to los każdego redaktora, i wierzcie mi nie do pozazdroszczenia. Jak żołnierz, któremu powierzono oddział zbrojnych, tak i on musi każdego dnia słuchać, czuwać, zapobiegać, i walczyć, aby nazajutrz znowu walczyć, słuchać, czuwać i zapobiegać. Między obydwoma tylko ta wielka zachodzi różnica, że gdy pierwszy po skończonej kampanji otrzymuje ordery, a czasem w dodatku jeszcze tytuł i kilkakroć ze ściągniętej kontrybucji — drugi, gdy siły swoje stera, idzie w odstawkę i właśni jego czytelnicy przechodzą nad nim do porządku dziennego.

Znam pewnego redaktora, który za lat młodszych, dowiedział się raz w samym środku karnawału, że wszyscy jego towaszysze broni wyjechali kuligiem o pięć mil od stolicy. Pismo literackie, które redagował, miało wyjść nazajutrz, a nieszczęsny w tece swojej nie posiadał ani jednego wiersza zapasowego manuskryptu. Chwilę dumał, a potem zamknąwszy się na pół dnia napisał dalszy ciąg powieści, dokończył artykuł historyczny, dorobił kolumnę jakiegoś innego artykułu naukowego, a nawet, nawet sfabrykował wiersz, pod którym nikogo nie podpisał, aby czytający myśleli, że jest to utwor jakiegoś wielkiego ale dotąd nieznanego poety. Numer wyszedł, z czytających nikt się nie poznał, i tylko

współprncownicy wróciwszy z kuligu niezmiernie się dziwili, że własnych dzieci nie poznali.

Jaka to szkoda, że „Tydzień“ umieszcza artykuły podpisywane pełnem nazwiskiem! Gdyby nie to, nie jeden możeby nie poznał, że ponownie jestem zmuszony pisać pogadankę; a gdybym umieścił jeszcze wiersz własnego fabrykatu, któryby się potem nie podobał, jutro poszedłbym do ratusza, i tak siarczysty miałbym odczyt o obojętności dzisiejszego społeczeństwa dla współczesnych poetów, że wszystkie moje piękne słuchaczki...

Ale dajmy temu pokój, słuchaczki nie mają teraz czasu uczęszczać na odczyty... Teraz karnawał, bale, maskarady, a w dodatku będziemy jeszcze mieli dwa koncerta panny Patti, która już telegramem swój przyjazd zapowiada. Jesteśmy pewni, że mimo nędzy w kraju, mimo bankructw codziennych, wreszcie mimo cen wygórowanych, sala będzie przepełniona, bo czyż można Patti nie słyszeć! Gdy kilka lat temu sławna ta śpiewaczka miała do Lwowa zawitać, muzykalne uszy galicyjskich obywateli pędziły aż z pod Beskidu na ucztę do Lwowa, więc łatwo przypuścić, że zabawny ten fenomen i tym razem się powtórzy. A więc witajcie nam wy wszyscy, których elektryzuje śpiewaczka zagraniczna, a których żadna z najdrażliwszych spraw krajowych poruszyć nie może!

Co do mnie wiem, że pięciu guldenów nie dam za fotel, zwłaszcza że na własnym naszym gruncie mamy Patti samorodną, którą za pieniądze nierównie tańsze możemy słyszeć każdego tygodnia. Słyszeliśmy ją nawet kilka dni temu w *Proroku* i żal mamy tylko do rybaka, że bez zezwolenia audytorjum ośmielił się wydobyć ją z jeziora, do którego dobrowolnie z zamku się rzuciła. Gdyby nie to, dyrekcja teatru byłaby ją w aktach następnych musiała inną zastąpić, bo przecież „martwcy“ jak twierdzi *Szczutek* śpiewać nie mogą.

* * *

Szkice krakowskie umieściły w ostatnim numerze artykuł przysłany im ze Lwowa, którego autor dziwi się naszemu dziennikarstwu, że energicznie nie występuje przeciw pewnym pisemkom, wylęgłym na naszym bruku, a właściwie błocie, które za jedyny cel życia obrały sobie skandal. Ponieważ sprawę tę zamierzamy wkrótce obszerniej poruszyć, więc dziś poświęcimy jej tylko kilka uwag. Zdaniem naszem, dzienniki lwowskie wobec pisemek wspomnianych najlepszą przyjęły taktykę, która się nazywa m i l c z e n i e m. Niemcy mają na to wyraz odrębny *todtschweigen*, który wszystko tłumaczy. Trzeba o nich milczeć, trzeba je na śmierć zamilczyć. Dziennik, który inne zmusza do polemiki, tem samem udowadnia, że ma rację bytu, bo przecież nie polemizujemy z tymi, którzy nas ani obrazić mogą, ani których działanie nie okazuje, że mogliby dla narodu stać się pożytecznymi, gdyby za pomocą polemiki powiodło się innym sprowadzić ich na drogę właściwą. Gdyby p. A. Walewski nie był członkiem Akademji krakowskiej, książka jego nie byłaby z pewnością takiej burzy wywołała. Ten i ów byłby powiedział swoje, wzruszył ramionami, i elokubracja p. W. byłaby utonęła w fali zapomnienia. Tymczasem stanowisko autora nakazało dziennikarstwu zaprotestować przeciw jego pracy. Spełniło też swój obowiązek, lecz jakie tego były następstwa? Oto nie jeden, który zazwyczaj nic nie czytuje, kupił osławianą „Filozofję“ aby się przekonać, czy jest ona rzeczywiście tak złą jak o niej mówią. Książka luźnie rzucona nie działa na masy — ale natomiast działa każde pismo, zwłaszcza codzienne. Otóż gdyby dziennikarstwo nasze zaczęło polemizować z „rewolwerową“ prasą lwowską, publiczność szukałaby tych pisemek, a szukając nastręczałaby im środki do dalszej egzystencji. Skutki byłyby najopłakańsze. Tymczasem grobowem milczeniem uśmierca się niebezpiecznych, jak gospodarz uśmierca szarańczę, jeźli ją dobrze ziemią nakryje. Nie wątpimy, że tylko taka broń jest tu skuteczną, i przekonają się *Szkice* krakowskie, że nie upłynie rok, a z prasy rewolwerowej śladu u nas nie będzie. Dotychczasowa praktyka przekonała nas o skuteczności tej broni.

* * *

Na zakończenie notujemy, że młodziutka księgarnia p. Wł. Bełzy, wydawszy *Poezje Marji B. i Borysa*, rzecz historyczną Kaźmierza Górskiego, wystąpiła teraz z nakładem trzecim. Jest to książka p. Teofila Merunowicza, a jej tytuł: *Wewnętrzne sprawy Galicji*. Autor w dwudziestu rozdziałach zastanawia się nad rozmaitemi kwestjami, które uważa za najżywotniejsze. Chociaż nie zgodzilibyśmy się ze wszystkiemi jego poglądami, mimo to nie da się zaprzeczyć, że p. M. zna nasze stosunki, a pisząc najlepszemi jest przejęty chęciami. Więcej prac w tym kierunku, a i położenie nasze znacznie się rozjaśni.

Józef Rogosz.

Kronika paryska.

Paryż — Styczeń 1876 r.

W niedostatku „Cudzoziemki“ (l'Etrangère) Dumas'a, która wciąż na siebie czekać każe, pomówimy o „Wczorajszych Skandalach“ (Les Scandales d'hier), komedji pana Teodora Barrière, która niedawno w Teatrze „Vaudeville“, jeśli nie pierwszą sezonową nagrodę, to przynajmniej bardzo chlubne od publiczności otrzymała poświadczenie.

Pan Teodor Barrière znany był dotychczas jako pisarz z talentem; ale skłonny ku satyrze, karykaturzysta, zdolniejszy do malowania czarnym niż różowym kolorem, ale wreszcie bardzo mało ideałów, a sporo szpetnych w ludzkości dostrzegający rzeczy.

Z utworów jego najpokaźniejszy, ten, który mu wybitne w literaturze współczesnej wyrobił stanowisko „Fałszywi Poczciwcy“ (Les Faux-Bonshommes) komedja w tymże teatrze „Vaudeville“ przed piętnastu przedstawiana laty, patrzącym i czytającym takie a nie inne o usposobieniach jego mogła dać wyobrażenie.

Widząc więc na afiszu tytuł tak drastycznie brzmiący jak: „Wczorajsze Skandale“ i czytając pod nim nazwisko p. Barrière, każdy był w prawie myślenia, iż z jakąś w tym rodzaju gromko wygłoszoną satyrą, iż z jakimś Hogarthowskim, śmieszności a brudów towarzyskich zobaczyć mu się przyjdzie obrazkiem.

Tymczasem rzecz się ma wręcz przeciwnie. „Wczorajsze Skandale“ to stuczka ledwie że nie sentymentalna, hołdująca ideałom, pełna górnobrzmiących frazesów, niebrzydka, nieźle napisana, miejscami nawet dowcipna, lecz ani Hogarthowska, ani prawdziwa, zwłaszcza nie prawdziwa! Słodyczą swą na umysłowem mem podniebieniu, zrobiła wrażenie karmelka sporządzonego w aptece, przez dłonie farmaceuty, przesiąkłe gorzkiemi miksturami. Uprzedzenie to zapewne. Spowiadam się więc wam z niego z możliwie chrześcijańską pokorą. Lecz to nie przeszkadza faktowi, i z fotelu mego podczas entre-aktów nad sąsiadami mymi rozmaite robiąc spostrzeżenia, na twarzy nie jednego z nich czytałem wyraz zawodu, coś na kształt miny, jaką by zrobił głodny konsument, gdyby mu zamiast oczekiwanej pieczeni, bardzo może przyjemne w swoim czasie, lecz za ckliwe na pusty żołądek, przyniesiono konfitury.

Bierzmy się od razu do treści, zastrzegając sobie prawo uwag i komentarzy wszędzie, gdzie się tylko potemu stosowna zdarzy okazja.

Panna Julja Letellier, córka zrujnowanego i podupadłego na zdrowiu negocjanta, dla utrzymania ojca i siebie przyjmuje miejsce lektorki i „dame de compagnie“ w domu bogatej margrabiny de Lipari. Piękna (rola odegrana przez panią Pierson najwybredniejszego pod tym względem zadowoliłaby spektatora) piękna i cnotliwa wzbudza szaloną miłość w sercach dwóch młodych dandysów, (dziś mówi się „gommeux“) eleganckiego paryskiego świata. Jednym z nich jest baron de Villedieu, drugim hrabia de Fresnoy. Obaj na wyścigi ofiarowują jej swoje nazwisko, obaj proszą o jej rękę, z zapomnieniem interesów materjalnych i przesądów kastowych, pięknem na scenie, lecz dość rzadkiem w życiu, a zwłaszcza w życiu tutejszem.

Panna Letellier wybiera drugiego, hr. de Fresnoy i młoda para wyjeżdża do Nicei na miodowe miesiące. Przedtem jednak mieści się intryga, postronna na pozór, od której wszelakoż zależy cały dalszy rozwój sztuki.

Margrabina Lipari ma kochanka, barona de Strade, i od czasu do czasu przyjmuje go potajemnie w mężowskim hotelu. Panna Letellier naturalnie nic o tem nie wie, ale baron de Strade pewnej nocy z miłośnego z margrabiną wychodząc spotkania, gdy mu coś (zamknięcie drzwi, czy zgubienie klucza, niepomnę) zwykłą odwrotu przecina drogę, nie widzi innego sposobu wydostania się z hotelu bez skompromitowania swej lubej, jak przechodząc przez pokój panny Letellier i oknem jego wyskakując do parku Monceau, który roztacza się w koło margrabiowskiego mieszkania.

Dzieje się to zaraz po podwójnych onych oświadczynach, i odmówiony baron de Villedieu gdy się romantycznie pod oknami swej okrutnej przechadza, widzi szczęśliwego (w jego przekonaniu) współzawodnika, jak się jednem z tych okien z objęć lubej na świat Boży cichaczem wymyka. Dla większego uprawdopodobnienia rzeczy, Panna Letellier nieobecna w swym pokoju w czasie przejścia barona de Strade, wraca doń w tej chwili, a widząc otwarte okno i słysząc w dole łoskot upadającego ciała, wybiegła na balkon, by się dowiedzieć, co tego może być przyczyną. Z powodu ciemności nic nie widzi, ale widzieć się daje, i baron de Villedieu odchodzi z przekonaniem, iż panna Letellier jest tylko zwykłą zalotnicą, i że harbuz, jakim go poczęstowała, należy przypisać niczemu innemu, jak tylko dawniejszym jej miłosnym stosunkom z baronem de Strade. Miłość własna odmówionego, w tej ostatniej konkluzji znajduje sobie pewien rodzaj pociechy, i młody kawaler obiecuje sobie późniejszem opublikowaniem „skandalu“, tak „pięknej Julji“ jak i wybranemu przez nią rywalowi, swoje chwilowe odpłacić upokorzenie.

Pomocnicą w tym względzie staje mu się niejaka wicehrabina de Meillan (jak widzicie na tytułach postaciom sztuki nie zbywa wcale) którą ongiś z hr. de Fresnoy czułe łączyły relacje, która porzucona przez niego dla panny Letellier śmiertelną tej ostatniej poprzysięga nienawiść, i która podchwyciwszy zręcznie zwierzenia pana de Villedieu przyjmuje na siebie rolę trąby wygłaszającej „Skandale“.

Młoda para tymczasem o niczem nie wie, i po kilkomiesięcznym pobycie w Nicei na zimowy sezon wróciwszy do Paryża, roztasowuje się we wspaniałym hotelu Blansay, przy ulicy Varenne, gdzie ją przyjmuje stara księżna do Blansay, babka po matce hrabiego de Fresnoy. Jest to dość udatny, choć także z wyobraźni a nie z natury rysowany typ arystokratycznej staruszki, która z początku bardzo się opiera mezaliansowi szalonemu wnuka, lecz potem skaptowana wdziękiem „mieszczaneczki“ otwiera jej dom swój i ramiona, i pierwszych jej kroków w świecie gorliwą staje się protektorką.

Opowiedziane rzeczy stanowią treść dwóch długich aktów. Intryga potrzebowałaby dwóch jeszcze przynajmniej, by się z należytą rozwinąć jasnością.

Bynajmniej! Pan Barrière przecina ją gwałtownie w trzecim akcie. Słuchajcie...

Książę Waroff, ambasador, daje bal wspaniały. Zaprosiny na bal ten są nader poszukiwane i stanowią jakby patent na wysoką elegancję. Młoda para odbiera takowe i hrabina Julja, pokryta brylantami familji Blansay, i Fresnoy jedzie prezentować się

przed błyszczącym aeropagiem, jedzie, nie wiedząc co ją tam czeka, nieprzeczuwając, iż sprzysiężona na honor jej liga nieprzyjaciół właśnie ów bal wybrała za pole publicznej dla niej konfuzji.

Bal odbywa się za kulisami. (Autor uznał widocznie za niestosowne plebejuszowską publiczność w tak wysokie wprowadzać progi). Akt trzeci i ostatni zaczyna się znów w jednym z salonów hotelu Blansay, gdzie stara księżna w towarzystwie margrabiny de Lipari grając w pikietę, czeka na powrót z balu młodej pary.

Drzwi otwierają się z łoskotem. Wpada kto? Hrabina Julja sama, zalana łzami, i wzdychając i mdlejąc co chwila stroskanej babce i zatrwożonej przyjaciółce przebyte opowiada awantury.

Pokazuje się, iż podbuntowane przez panią de Meillan damy eleganckiego świata publiczną jej wyrządziły zniewagę, iż oddzielona od męża, który się gdzieś zgubił w tłumie, otoczona groźnem oprawczyni kołem, prześladowana złośliwemi ich szeptami, na tysięczne narażona impertynencje, biedna ofiara straciła głowę, wypadła na ulicę w balowym stroju, siadła do pierwszego lepszego przejeżdżającego powozu, i kazała wieść się do domu, gdzie w niewysłowionej przybywa rozpaczy, zapytując Boga i ludzi, czem tak przed światem zawiniła, i za co ten na nią tak zawzięcie ciska gromy?

Niech nam pan Barrière wybaczy, ale cała powyższa scena zupełnem razi nieprawdopodobieństwem, i nie dowodzi w nim wielkiej znajomości świata, który przedsięwziął malować dłonią nadto zuchwałą. Czy p. Barrière myślał, iż dość jest nazwiska brzmiącemi upstrzyć tytułami, dość scenę w bogate dekoracje, a aktorów i aktorki w eleganckie ubrać toalety, by odtworzyć ów świat wyższy, by widzom wierny z arystokratycznego życia przedstawić obrazek? Jeśli tak jest, żałujemy go szczerze. Omylił się bowiem gwałtownie i nie prawdziwych panów, ale pokazał nam fagasów ubranych w pańskie suknie. Ów wspaniały bal u księcia Waroff, opowiedziany przez wracającą zeń hrabinę de Fresnoy, wielkiem do jakiegoś przedmieściowego „Szusterbaliku“ uderzył nas podobieństwem; lub jeszcze lepiej do jakiegoś wieczorka w Mabille lub w Valentino, gdzie rywalki wydzierają sobie oczy, rozdzierają suknie i bardzo malowniczemi, lecz niekoniecznie parlamentarnemi raczą się epitetami. A ów-że gościnny „książę“ gospodarz, który pozwala by w domu jego zaproszone damy publicznie znieważano? Ów ambasador, z którego salonów damy wybiegają same, by pierwszym lepszym przejeżdżającym fjakierkiem do domu zemknąć po nocy? Czy nie robi on wam wrażenia przedsiębiorców wspomnianych wyżej balów publicznych, którzy byleby każdy z wchodzących zapłacił pięć franków wstępu, mało o dalsze jego troszczą się losy, i konduity jego wcale na własną nie przyjmują odpowiedzialność? Trzeba przytem życia i towarzystwa paryskiego nie znać zupełnie, by przypuścić, iż taka jakaś mniej lub więcej skandaliczna awanturka, ciężąca na przeszłości a na sumieniu pięknej, bogatej i tytułowanej damy, wystarcza, by przeciw niej tak cnotliwie oburzoną innych wywołać demonstrację. O dla Boga! Gdyby tak było, żaden tu bal nie mógłby się odbyć spokojnie, i na wywożenie uciekających grzesznic fjakrów zabrakłoby wieczorem. Rzekłby ktoś, iż p. Barrière mieszkał dotąd na księżycu, i że spadłszy zeń niedawno, nie miał jeszcze czasu otworzyć żadnego dziennika żyjącego ze skandalów (*Figaro*, *Gaulois*, *Paris-Journal* i t. d.) Gdyby to bowiem uczynił, wiedziałby, że nie masz może jednej z pań wielkiego świata, o którejby czegoś nie opowiadano pokątnie, którejby podobnych i gorszych niż pani de Fresnoy, słusznie czy niesłusznie nie przypisywano awanturek, co nie przeszkadza im wysoko arystokratycznego nosić czoła, nie przeszkadza bywać na balach u ambasadorów, bez wszelkiej obawy narażenia się na cnotliwe demonstracje.

Lecz wracajmy do treści i tak dość już rozwałkowanej i gwałtownie domagającej się ostatecznego rozwiązania.

W kilka chwil za rozłzawioną bohaterką komedji, wpada jej mąż jeszcze większą pokryty bladością, w większej jeszcze pogrążony rozpaczy. Na balu, na tym o wszystkiem decydującym balu, wciśnięto mu do ręki czy podrzucono karnet, a w nim detaliczne sprawozdanie z awanturki przypisywanej żonie. (Nibyto notatki dziennikarza do druku w publicznem jakiemś przygotowane piśmidle.) Zbiera się pewien rodzaj familijnego trybunału. W przytomności męża, babki, księcia de Blansay, i margrabinej de Lipari, nieszczęśliwa ofiara potwarzy ścisłej podpada indagacji. Żądają od niej, by przypomniała sobie wszystkie szczegóły tej a tej mianowicie nocy. Żądają od niej, by dowiodła, iż baron de Strade nie był jej kochankiem, i że wyskakując oknem z jej pokoju czynił to jedynie dla użycia świeżego powietrza i koniecznej dla zdrowia egzercycji ciała. Tutaj, tak sformułowane słysząc oskarżenie, margrabina Lipari miesza się gwałtownie. Tutaj tem zmięszaniem się i innemi postronnemi detalami piękna Julja wprowadzona na drogę domysłów, zwracając się ku dawnej mecenasce, od niej żąda poświadczenia swej niewinności.

Tu nastąpić ma wybuch długo oczekiwany, scena jakby się zdawało dla udramatyzowania sztuki konieczna; pojedynek między hipokryzją a spotwarzoną cnotą.

Bynajmniej!

Drzwi się tylko znów roztwierają, i pomimo spóźnionej pory, (ściśle czas obrachowawszy, musi być trzecia lub czwarta po północy) wpada kto? Baron de Strade, który właśnie z dalekiej powrócił podróży, którego uwłaczające honorowi młodej hrabiny dobiegły pogłoski, i który pospiesza z zupełnem jej uniewinnieniem, a oskarżeniem kogo? Juźci nie margrabiny, a tylko samego siebie. Tak jest, to on sam tylko szaloną ku pięknej pani de Lipari pociągnięty miłością, bez jej wiedzy (jak to prawdopodobne!) zakradł się do jej hotelu, ale zastanowiwszy się potem nad całą niedorzecznością swojego postępku, gdy innej przed sobą nie widział drogi odwrotu, skorzystał z chwili, w której panna Letellier pokój swój opuściła, by oknem jego do sąsiedniego wyskoczyć parku. Mówiący żałuje szczerze, iż szaleństwo jego tak smutne za sobą pociąga konsekwencje, i wspaniałomyślnie rękę swą jako indemnizację, owdowiałej a skompromitowanej *quand même* ofiarowuje margrabinie.

Tem tak jasnem i prawdopodobnem wyłuszczeniem rzeczy, trybunał familijny zadowala się kompletnie, koronę niewinności na niesłusznie spotwarzonem pięknej Julji reinstaluje czole, i sztuka ku wielkiemu widzów zadowoleniu ogólnym kończy się uściskiem. Jeśli teraz przedstawioną wam jej kanwę zahaftujecie tysiącem czułych, czulszych i jeszcze czulszych frazesów; żywym, nigdzie prawie nie kulejącym djalogiem, i od czasu do czasu w ogólny deseń wplecioną uczucia niteczką; jeśli wyżej zakreślone role wyobrazicie sobie z całą znajomością kunsztu, przez doborowych odegrane aktorów; to komedja pana Barrière przedstawi się wam taką, jaką jest rzeczywiście, to jest pełną usterek, pełną nieprawdopodobieństw, pełną absurdów nawet, lecz w sumie, zwłaszcza jak na czas nieurodzaju, możliwą i znośną.

Publiczność wreszcie tutejsza dość hucznemi przyjęła ją oklaskami. Gdzie sąd jej w ten szumny wyraża się sposób, tam krytyce, krytyce cudzoziemca zwłaszcza, prawie milczeć wypada.

Po tem głównem daniu pobieżny przegląd innych teatralnych nowostek.

Operetce nie powiodło się w tym roku, a przynajmniej powodzenie jej dzisiejsze do dawniejszych nie dorasta miary. Trzy z nich: „La Boulangère“ Offenbacha, „Le Pompon“ Lecoq'a i „La Filleule du roi“ Vogla, po dość szczupłej liczbie przedstawień położyło się do grobu. Dwie: „La Créole“ Offenbacha i „La cruche cassée“ Vasseur'a już się nad nim chyli. Jedna tylko „Le voyage dans la lune“ także Offenbacha, i to jak się zdaje dzięki przepychowi dekoracyj jedynie, dłuższą zapowiada egzystencję. Nic stałego pod słońcem, nic stałego w Paryżu szczególnie, i moda lekkich „flon-flonów“ i moda za lekkich strojów aktorek, przeżyła już swoją epokę. Zrodzona z cesarstwem, kilka lat zaledwie dłużej niż to ostatnie krzywiła się przed światem. Zapomnienie obojgu pamięci!

Teatr „Odéon“ wkrótce z wielką, nas Polaków specjalnie interesującą wystąpić ma nowością. Będzie nią komedja pod tytułem „Les Danischeff“ (ortografja francuska) przez rodaka naszego pana Krasowskiego czy Krasuskiego (jakoby emigranta z r. 1830) na tle moskiewskich napisana obyczajów, Dumas'a poprawiona piórem, i Dumas'a wszechwładną tu dzisiaj zaszczycona protekcją. Jak powiadają, cenzura francuska odznaczająca się w ostatnich czasach wielką względnością dla rządów moskiewskich, wiele miała do czynienia z sztuką, o której mowa, i straszliwie biedaczkę nieubłaganemi swemi pokaleczyła nożycami. Miejmy nadzieję, iż oszczędzonych przez nią rzeczy wystarczy, by nam parę przyjemnych przysporzyć wieczorów.

Teatr „de la Porte St. Martin“ po zakończonem raz nareszcie, bezprzykładnem w dziejach sztuki powodzeniu (400 przedstawień) „Le tour du monde“ nim mu się uda drugą podobną złowić zwierzynę, odnowił tymczasem stary dramat Dumas'a (ojca) „Młodość muszkieterów“ (La jeunesse des mousquetaires) i daje go przed publicznością specjalną, przepadającą za podobnemi melo-dramatami, a złożoną z odźwiernych i kucharek.

„Teatr historyczny“ (Le Théatre historique) kosztem *ejusdem farinae*, chociaż nowo spłodzonej żyje produkcji. „Regina Sarpi“ krwawa tragedja p. Deneyrousse. Teatr „Gymnase“ wreszcie przedstawia nową komedję „Féréol“, fabryki pana Sardou.

O tej w przyszłym którymś liście, jeśli zapowiedziane a godniejsze uwagi nowości dość nam miejsca zostawią a czasu.

My, Polacy, na ławach senatu francuskiego mamy już jednego rodaka; jest nim p. Ludwik Wołowski, a będziemy mieli prawdopodobnie drugiego. Będzie nim (jeśli będzie) hr. Ksawery Branicki, który w charakterze posiadacza znacznych dóbr ziemskich we Francji, zapisał się jak słyszałem na liście kandydatów. Zowiąc tych panów rodakami, nie wiem czy wielkiej według pojęć francuskich nie popełniam omyłki; Francuzi bowiem właściwy im i dość dziwaczny mają sposób przysądzania lub odsądzania różnym osobom polskiej ich narodowości. I tak naprzykład dzienniki pisały niedawno o p. Mękarskim, wynalazcy nowego systematu lokomotywy za pomocą ścieśnionego powietrza, iż pomimo polskiej końcówki swego nazwiska, Polakiem nie jest bo we Francji się urodził i we francuskich szkołach odbierał wychowanie. Okołowicza zaś (znanego członka komuny), który się także we Francji urodził, który także we francuskich szkołach pobierał wychowanie, który nareszcie był oficerem regularnej armji francuskiej, zwą Polakiem bezspornie. Tenże sam tytuł Polaka udzielają łaskawie każdej osobistości z pod ciemnej jak się to mówi gwiazdy, byleby jej nazwisko brzmieniem swem choć trochę polskie przypominało. Nie sprzeczamy się, iż taki sposób przyswajania sobie tego co dobre, a odrzucania tego, co się niepodoba, wygodnym jest i przyjemnym, ale czy jest słusznym, to drugie pytanie. Sprawiedliwiej byłoby wszystko odrzucić, lub wszystko przyjąć ryczałtem. Polska usynowiła Szopena i szczyci się nim jak swoim, ale niechże jakiś i nieciekawy egzemplarz, francuskie noszący nazwisko, na jej szczodrem urodzi się łonie, jej gościnnem wykarmi się mlekiem, toć się go ona nie wyprze na korzyść pierwszej, zaniechanej i zapomnianej przez niego macierzy. Otóż z tego punktu widzenia rzeczy, kto wie czy i p. Wołowski nie wyrośnie raptem na Francuza, do nazwiska którego polskie „ski“ przyczepiło się tylko przypadkiem. Osobistość to dość pokaźna, by ją sobie przypisać. Lecz niech sobie przypisuje naród taki, co ubogi w synów zaszczyt mu przynoszących; niech ich szuka biedak gdzie może, Francja nie jest, a przynajmniej nie była dotąd w takiem położeniu, by się chlubić cudzemi dziećmi, lub by wstydzić się tych, które raz za swoje uznała. Jedno z dwojga, lub Francuzami są ci wszyscy, którzy się we Francji urodzili, Francji synowskie poprzysięgli posłuszeństwo, bez względu na to, czy postępki ich pochwale ulegają czy naganie; lub też nie są Francuzami ci nawet, którzy niejeden listek lauru w wianek narodowej zapletli chwały (Maurycy Saski, Kleber, Massena, Mürger itd.) jeżeli zkąd inąd ród swój wywodzą, i jeśli francuskie nie noszą nazwiska...

Akademja francuska dwóch nowych wybrała nieśmiertelnych.

Miejsce Guizot'a zajął p. Dumas, uczony, miejsce de Rémusat'a, Jules Simon, były członek wrześniowych rządów, były minister oświaty za czasów Thiers'a i znany powszechnie publicysta.

Pan de Bornier, autor „Córki Rolanda“ do obydwóch z kolei pretendował fotelów i od obydwóch został usuniętym. Bogiem też a prawdą to dlań tro-

che zawcześnie. Jeden tryumf teatralny jest zapewne czemś, lecz jeszcze nie wszystkiem. Za lat parę, po paru innych zwycięstwach, zobaczymy.

Sławny baryton Faure opuszcza tutejszą Operę. Zaangażowanym jest do Włoch za skromną sumkę 30.000 fr. miesięcznie. Bodaj to muzykalne gardło!

Znakomity malarz Meissonnier ukończył wielki obraz przedstawiający epizod z bitwy pod Friedlandem. Znawcy silnie go krytykują, ale obraz już sprzedany za 300.000 fr. panu Stevart, bajecznie bogatemu Amerykaninowi. Albo bardzo się mylę, albo pozytywny ten rezultat więcej zadowala serce malarza, niżby to najgorętsze pochwały uczynić były w stanie.

On est fils de son siècle, ou on ne l'est pas. I na tem koniec.

Do przyszłego listu

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Dictionnaire da la langue francaise, abrégé du dictionnaire de E. Littré par M. A. Beaujean — 1 vol. Paris — Hachette — 1875.

Słownik Littré'go wydany przez Akademję francuską, był bardzo obszerny a więc nie dla każdego przystępny. Beaujean skróciwszy go teraz, oddał tem wielką przysługę wszystkim, którzy chcą zgłębić ducha języka francuskiego. Autor zatrzymał w swej pracy układ i ducha słownika Littrégo, a uzupełnił ją w skróceniu wszystkiemi wyrazami zawartemi w „Dictionnaire de l' Academie" tudzież znaczną liczbą nowych wyrazów używanych w nauce i sztuce.

— Les Femmes et la société au temps d' Auguste, par M. Henri Blaze de Bury; Didier — Paris — 1876.

Są to świetnie wykończone obrazy, w których autor wskrzesił trzy znakomite, a tak różne trzy typy kobiet, mianowicie Kleopatrę, Liwię i Julję. Powyższem dziełem dowiódł autor, że chcąc odtworzyć jaką epokę lub społeczeństwo, nie wystarcza sama tylko nauka, lecz musi ona być koniecznie poparta poetycką intuicją. Świetność barw, wytworność stylu, i nowość poglądów, rzucających światło na owe społeczeństwo, oto główne zalety pracy p. Blaze de Bury.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

W imieniu licznego grona inżynierów i architektów upraszamy usilnie kogo należy o wystawienie powtórne projektów konkursowych na gmach Sejmu i Wydziału krajowego. Zwyczaj ten powtórnego wystawiania jest praktykowany za granicą i ma bardzo wiele stron dobrych. Szersza publiczność techniczna i artystyczna, nie mająca czasu studjować specjalnie wszystkich projektów, mając wytknięte plany najlepsze daleko prędzej będzie się mogła zorjentować w tym labiryncie i wyrobić także i swoje zdanie. Prosimy więc usilnie o powtórne wystawienie!

— Na bardzo dobrą myśl wpadła dyrekcja teatru lwowskiego. Oto każdej niedzieli urządza ona teraz przedstawienia popołudniowe, po cenach tak umiarkowanych, że najmniej zamożny może w tym dniu pójść do teatru. Na tych przedstawieniach występują talenta początkujące. Jest to dla osób rozpoczynających dramatyczną karjerę bardzo dobrą szkołą. Niewątpimy, że w te i sposób przybędzie teatrowi kilka sił nowych.

— Pojawił się pierwszy zeszyt „Kosmosu" czasopisma polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, którego redakcją zajmuje się Dr. Radziszewski. W pierwszym tym zeszycie mieszczą się prace następujące: Rzecz o trzęsieniu ziemi, oraz opis trzęsienia ziemi w Galicji wschodniej 1875 r. przez prof. Kreutza; 2. Świat drobnowidzowy przez Dr. Stellę Sawickiego; 3. O trawieniu kiszkowem przez prof. Nęckiego; 4. Kronika naukowa; 5. Ruch stowarzyszeń; 6. Piśmiennictwo; 7. Wiadomości bieżące.

— Komitet wydawnictwa dziełek ludowych, którego odezwę dziś podajemy, wydał już dwie książeczki. Pierwsza zatytułowana „Dzisiejsi męczennicy" napisał Piotr Zbrożek, druga „Powrót z jarmarku, czyli pogadanka o chowie bydła." Obie napisane popularnie i odpowiednio dla ludu.

— Pan Eustachy Petion wydał nową broszurę pt. „O robotach ziemnych". (Przewodnik teorytyczny i praktyczny dla użytku inżynierów, budowniczych, przedsiębiorców i właścicieli ziemskich. Z tablicami do obliczań wykopów i nasypów. Z 2 rycinami litografowanemi 8ka. str. 64. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej 1876.) Pozostawiając bliższe ocenienie prac inżyniera Petiona pismom specjalnym, zwracamy uwagę publiczności na ich praktyczną stronę, przystępny wykład i szerokie zastosowanie jakie znaleźć powinne. Jest to z kolei trzecia praca tego autora; poprzednie traktowały: „O budowie tanich pomieszkań", czyli o taniej budowie w ogóle tak pomieszkań jak i zabudowań gospodarskich. „Nowy sposób konserwacji drzewa wystawionego na podwójne działanie powietrza i wody. O pożarach i o uogniotrwaleniu dachów. O wyrabianiu sztucznych kamieni do żwirowania gościńców." Same tytuły wskazują jak żywotne kwestje traktuje w swych broszurach p. Petion i wdzięczni mu jesteśmy za popularyzowaniu takowych. W dalszym ciągu nakładu Księgarni Polskiej wyjdzie broszura p. Petiona pt. O budowie dróg i gościńców," i „O budowie mostów." Dotąd nie posiadamy w literaturze polskiej żadnego dzieła o budowie mostów, może dla tego nasze mosty nie zawsze odpowiadają swemu przeznaczeniu.

W Neapolu, w jednym z mniejszych magazynów przy Via Santa Chiara, znaleziono Madonnę pędzla Giotta. Obraz jest świetny.

— Salingré napisał dla Berlina operetkę pt. „Podróż po Berlinie w 80 dniach." Niemcy bardzo się nią cieszą, i już jej wróżą takie powodzenie, jak znanemu utworowi Verna. Zobaczymy.

Odezwa.

Cały kraj uznaje potrzebę pracy nad oświatą ludu. Corocznie powstają nowe szkoły ludowe, a istniejące już poprawiają się i rozszerzają; co rok przybywa świeży zastęp nauczycieli ludowych, wykształconych w naukowych zakładach, umyślnie w tym celu utworzonych; ofiarność na cele oświaty uznano powszechnie jako pierwszy obowiązek obywatelski, a nawet lud wiejski pożytek nauki pojmować i potrzebę oświaty rozumieć zaczyna. A przecież, pomimo że ze szkół ludowych wychodzą co rok tysiące młodzieży, umiejącej czytać i pisać, postęp oświaty między ludem jest stosunkowo bardzo nieznaczny. Jedną z przyczyn tego smutnego objawu jest niewątpliwie brak książek stosownych, tak, iż wieśniak, opuściwszy szkołę ludową, zwykle nic nie czyta i po kilku latach zapomina mozolnie nabytej nauki czytania i pisania. Trzeba zatem podać ludowi możność rozszerzenia i uzupełnienia wiadomości, ze szkoły wyniesionych; trzeba mu dostarczyć książek, pisanych przystępnie, jasno i poprawnie, książek nie obszernych a tanich, pouczających bez znużenia czytelnika, któreby zwolna rozszerzyły skromny zakres pojęć wieśniaczych i podały w formie potocznego a treściwego opowiadania wiadomości o przyrodzie, gospodarstwie, kwestjach ekonomicznych, dziejach naszej przeszłości, obywatelskich obowiązkach chwili obecnej, słowem o wszystkiem, co lud nasz wiedzieć, zrozumieć i przyswoić sobie powinien. Dla tego we wszystkich krajach, gdzie pracę nad oświatą ludu prowadzono umiejętnie a skutecznie, wydawnictwa dziełek ludowych były przedmiotem szczególnej troskliwości obywatelskiej. Dość przypomnieć przykład Królestwa Polskiego i liczne publikacje staraniem warszawskiego Towarzystwa rolniczego wydawane; dość wskazać na wytrwałą do dziś dnia działalność w tym kierunku w W. Księstwie Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich. Tylko w Galicji nie ma obecnie ani jednego takiego wydawnictwa, pomimo że istnieją wszelkie pomyślne ku temu warunki. Mamy jednak przekonanie, że nie obojętność ogółu, lecz raczej brak stosownej inicjatywy jest tego przyczyną. Podejmujemy przeto wydawnictwo dziełek ludowych, zastosowanych do potrzeb i stopnia wykształcenia naszego ludu, dotykających z kolei wszystkich przedmiotów, których znajomość najsnadniej zdoła się przyczynić do podniesienia tej najliczniejszej warstwy społeczeństwa „Pisać będziemy tylko po polsku i w duchu polskim, wykluczając stanowczo wszelką agitację polityczną. Pracę naszą rokładamy nie na miesiące, lecz na lat dziesiątki." Będziemy postępować zwolna, aby postępować tem pewniej. Oto nasz program. Odzywamy się do wszystkich ludzi dobrej woli, którzy pojmują doniosłość takiej pracy i czują naglącą jej potrzebę. Wspierajcie nas radą, zakupowaniem książeczek i pośrednictwem w rozprzedaży. Datków pieniężnych nie przyjmujemy, lecz upraszamy każdego, kto zechce się przyczynić do rozwoju tego wydawnictwa, aby przeznaczoną na ten cel kwotę nadesłał, my zaś przeszlemy odpowiednią ilość naszych publikacyj. Listy i przesyłki odbieramy pod adresem: Komitet wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie, ul. Mickiewicza l. 8. Główny skład w księgarni p. Władysława Bełzy, w hotelu Żorża, plac Marjacki l. 1.

We Lwowie, dnia 12. stycznia 1876.

„Alfred Młocki. Henryk Janko. Dr. Wejciech hr. Dzieduszycki. Dr. Aleksander Hirschberg. Albin Rayski. Dr. Tadeusz Skałkowski. Juljusz Starkel. Piotr Zbrożek.

Podróże.

— Wyprawa Howarda w Australji, znalazła w oddaleniu 320 mil od zatoki Champion, szczątki karawany, którą składali biali ludzie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa są to szczątki wyprawy Leichhardta.

— W d. 16 stycznia, w San-Remo pod Nizzą, francuski aeronauta Baine puścił się balonem w podróż napowietrzną. Wzniósłszy się na dość znaczną wysokość, balon party wiatrem w stronę lądu, nagle zaczął szybko posuwać się ku morzu. Baine usiłował coprędzej spuścić się na ziemię, lecz mu się to nie udało i spadł na morze. Mieszkańcy nadbrzeżni z przerażeniem patrzyli na niezawodną śmierć aeronauty. Posłali mu jednak z pomocą kilka łodzi rybackich. Starania ich długo jednak były bezowocne. Po dwugodzinnem dopiero żeglowaniu udało im się odnaleźć zdrętwiałego prawie od zimna Baine'a, którego natychmiast wzięto na czółno. Udało się również doprowadzić do lądu sam balon, mocno przez wodę uszkodzony.

Szkolnictwo.

— Bibljoteka Jagiellońska w Krakowie otrzymeła w ciągu roku 1875 dzieł 2199 o 3052 tomach. Pomiędzy temi, kupnem dzieł 417, darem 644; obowiązkowych egzemplarzy z drukarń miejscowych 196, rozpraw nadesłanych od uniwersytetów 737; kupnem dla seminarjum filologicznego 189, dla seminarjum historycznego 18; czasozism przybyło 404, rękopismów 8, rycin 156, z tych 98 drogą zamiany; nut 3 sztuki, monet 11, dyplomat 1 i jedno popiersie ks. Adama Czartoryskiego w darze od ks. Wład. Czartoryskiego. Obecny zatem stan zbiorów bibljotecznych wynosi dzieł 138,926, tomów 175,580; atlasów i map geograficznych 1418; rękopismów 5746 w 2891 woluminach; nut 8980; dyplomatów 213; nut 345.

— Japoński mikado odniósł się w ostatnich czasach do rządu włoskiego z prośbą o pozyskanie trzech profesorów dla nowo założonej w Jeddo szkoły sztuk pięknych, a mianowicie profesorów rysunków, architektonicznych oraz ornamentyki, rzeźbiarstwa i malarstwa. Profesorowie pobierać mają 20.000 franków rocznej pensji, pomieszkanie w Jeddo oraz otzymują koszta podróży. Kontrakta z rządem zawarte mają ich zobowiązywać na lat pięć.

Wielkie Akwarjum.

— Przed kilku tygodniami książę Edymburski dopełnił uroczystego otwarcia nowego akwarjum w Londynie, które niezawodnie zaliczyć można do liczby najgodniejszych widzenia osobliwości angielskiej metropolji. Budynek w stylu gotyckim zajmuje przeszło trzy akry. W budynku tym oprócz właściwego akwarjum mającego 31 rezerwoarów obejmujących 600.000 gallonów wody morskiej i 22.000 gallonów słodkiej wody, znajduje się jeszcze ogród zimowy i ogród letni, muzeum, galerja obrazów, sala koncertowa, teatr, w którym w godzinach popołudniowych grywane będą komedje, a wieczorem operetki, dalej ślizgawka, czytelnia, bibljoteka i kilka restauracyj, słowem, w pysznym tym budynku nie zbywa na niczem i nowe Royal-Aquarium stanie się niezawodnie groźnym konkurentem dla Sydenham-Crystal-Pallace i Aleksandre Pallace.

ROZMAITOŚCI.

— Richardson, tak znany i wsławiony romansopisarz angielski z końca przeszłego stulecia opowiada w bardzo ciekawy sposób genezę i rozwój swojego talentu. Ktokolwiek zna dzieła tego autora, odznaczające się obok genjalnej charakterystyki osób i sytuacyj nużącą niekiedy długością i gadulstwem, znajdzie klucz do tych wad w poniższem opowiadaniu Richardsona. Już od lat młodocianych miał on osobliwą manję pisywania listów. Dziesięcioletnim zaledwie będąc chłopcem, zapalony szlachetną żądzą poprawy swoich bliźnich, układał moralne epistoły do imaginacyjnych osób. Raz nawet wysłał do pewnej damy z miasteczka Stapel takie budujące pismo, w którem zestawił jej pozorną bogobojność i pobożność ze znanym pociągiem jaki miała do oszczerstwa i plotek. Łatwo pojąć, że sędziwa dama wzięła ten w najlepszej intencji napisany list za złośliwą satyrę i znienawidziła małego kaznodzieję. Za to do młodych dziewcząt miał Richardson osobliwe szczęście. Posłuchajmy w tym względzie jego słów własnych: „Bojaźliwem jeszcze chłopięciem, już byłem ulubieńcem wszystkich wyższych dążnością i wykształceniem panien z sąsiedztwa. Sześć czy ośm z nich miało zwyczaj pracując wspólnie, dawać mi do czytania ulubioną sobie książkę. Niekiedy bywały przytem także i ich matki, a wszystkie wyciągały mnie na uwagi i spostrzeżenia o tem, czemy czytali, widoczną w zdaniach moich znajdując przyjemność. Doszedłem zaledwo do 13 roku życia, gdy trzy z tych młodych dziewcząt, w sekrecie przed sobą nawzajem i w pełnem zaufaniu w moją dyskrecję, wzięły mnie za powiernika swoich uczuć, żądając, ażebym pisywał odpowiedzi na listy ich ukochanych, albo już napisane przeglądał. Nigdy nie dowiedziała się jedna z nich, że byłem sekretarzem drugiej. Przy redagowaniu tych listów wymagano po mnie ażebym czynił gorzkie wyrzuty, a nieraz nawet i zrywał, z powodu zaszłego sporu pomiędzy kochankami. Gdym zaś to czynił, widziałem że serce rozgniewanej lub zrywającej dziewczyny pełne było miłości i namiętności i wstrzymywałem pióro, bo nie mogąc się oprzeć obawie, że kochanek słowa jej weźmie na serjo, prosiła mnie co chwila o zmianę lub zmiękczenie tej lub owej ekspresji. Jedna z nich, przejęta do głębi gorącą i głęboką miłością swego ukochanego, rzekła mi, gdym do niego list dla niej pisał i pytał ją o zdanie: „Nie umiem ci powiedzieć, co masz napisać, ale (i tu serce zadrżało jej na ustach) nie zdołasz być zbyt słodkim i uprzejmym!“ Jedyną jej obawą było, aby dla nadto gorących objawów wzajemności, nie począł jej lekceważyć.“ Przez sprawowanie takich obowiązków doszedł Richardson do wielkiej biegłości i siły w wyrażeniach, a oprócz tego poznał wiele tajemnic sercowych, przyjrzał się duchowemu życiu młodych dziewcząt i wziął ztąd pohop następnie do poetyckiej twórczości. Epoka' ta jednakże przyszła dlań dopiero bardzo pózno. W piętnastym roku był drukarzem, i przez 35 lat poprzestawał na drukowaniu obcych prac. W pięćdziesiątym roku życia dopiero wystąpił jako samoistny pisarz. W r. 1740 pojawił się pierwszy romans jego „Pamela czyli wynagrodzona cnota“ i przyjęty został niesłychanem powodzeniem. W ośm lat później napisał „Clarissę“ w ośmiu potwornie grubych tomach. Najwykształceńsi ludzie całego świata ubóstwiali ten romans, napisany jak i poprzedni w listach, i temu wielką część dłużyzn swoich i gadulstwa zawdzięczający. Diderot porównywał tego prostego i skromnego londyńskiego drukarza z Mojżeszem i Sophoklesem, a marzycielski Jean Jacques Rousseau stawiał go na równi ze starym Homerem i pisząc „Nową Heloizę“ wziął go sobie za wzór.

— W domu jednej z rodzin osiadłych w Augsburgu znajduje się bogaty koronkowy kołnierz przedarty w kilku miejscach i umieszczony za szkłem wraz z portretem Gustawa Adolfa Szwedzkiego. Pod tą zagadkową pamiątką znajduje się następujące wyjaśnienie: „Kołnierz ten, należący do Gustawa Adolfa Szwedzkiego raczył ten król podarować mojej najdroższej małżonce, Jakóbinie Lauber, która w czasie gdy monarcha ten bawił w Augsburgu, najpiękniejszą była dziewicą w tem mieście i kilkakrotnie przez niego na balu zaproszona została do tańca. Właściwym zaś powodem, że król darował mojej żonie ten kołnierz a nie co innego, było, iż gdy chciał ją łaskawie popieścić, ona odsunęła się odeń tak gwałtownie, iż palcami kołnierz mu w kilku miejscach przedarła.“

— Francuski kapitan de Frangel, komendant fortecy Fuentarabia, w r. 1523 oddał ją w podły sposób w ręce Hiszpanom. Kara jego, gdy go Francuzi dostali, była następująca: W pełnem uzbrojeniu musiał wejść na rusztowanie, zajęte przez dwunastu księży, którzy po odczytaniu mu wyroku odjęcia szlachectwa, zaintonowali hymn pogrzebowy. Za każdym wierszem pauzowali, a w czasie tej pauzy herold zrywał część zbroi z winowajcy i rzucał ją wołając: „Oto jest przyłbica, miecz, itd. nikczemnego tchórza Frangela!“ Poczem gdy go już w ten sposób ze zbroi obdarto, wylał mu kat na głowę naczynie pełne gorącej wody, założył powróz na szyję, sprowadził go zań z rusztowania, okrył całunem i wsadził na kary. W takim stroju odwieziono go do kościoła, kędy kapłani otoczywszy go, zaintonowali psalm „Deus laudem meam“ zawierający w sobie moc wielką przekleństw na zdrajców. Po ukończeniu zaś tej ceremonji puszczono go wolno.., aby żył, jeśli potrafi!

— Nie podobna ściśle oznaczyć czasu, w którym widelce weszły w używanie. Najdawniejszą o nich wiadomość mamy z ust krzyżowego kaznodziei Piotra z Amiens, który z oburzeniem opowiada, że siostra cesarza Romana, żona Doży Weneckiego Piotra Orseolo († 991) zamiast jeść palcami, używała małych widelców i złoconych łyżeczek, „aż szalony ten zbytek ściągnął na nią i małżonka jej gniew Pański, tak iż oboje morem tknięci pomarli.“ Pomimo jednakże tej świątobliwej klątwy pustelnika Piotra „szalony ten zbytek“ wkrótce się dostał do Francji i tam się rozszerzył, jak tego dowodzą obrazy z 10 i 11 stulecia, przedstawiające uczty. W Anglji w 16 stuleciu nie znano jeszcze zupełnie widelców. Coryat, podróżujący przy końcu 16 stulecia po Włoszech, nie może się dosyć nadziwić „nad niedorzecznym i osobliwym obyczajem jedzenia widelcami.“ W Hiszpanji jeszcze w końcu przeszłego wieku widelce, noże i szklanki były w wielu gospodach rzadkością. W Turcji i Chinach dziś jeszcze obywają się bez widelców.

— W nader interesujących sprawozdaniach angielskich dzienników z podróży brytańskiego następcy tronu po Indjach, znajduje się także wzmianka, że książę podczas pobytu w Bombay odwidził „wieże milczenia“ tj. cmentarz Parsów. Szczegółowy zaś opis tego cmentarza podaje obecnie Manier Williams, profesor sanskrytu w Kalkucie, który dzięki wpływom swoim i stosunkom z najznakomitszymi Parsami potrafił dostać się do tych świętych miejsc wieczystego odpoczynku. Parsowie jak wiadomo są potomkami Persów i wyznają religię Zoroastra w całej jej czystości. Z umarłemi zaś swemi postępują w sposób niewątpliwie jedyny w swoim rodzaju na całym świecie. Na szczycie wzgórza malabarskiego, czarującej wyżynie przy zatoce bombajskiej, kędy Europejczycy i najzamożniejsi tuziemcy mieszkają, stoją w pośród przepysznego ogrodu Dakmasy, czyli „Wieże milczenia“ miejsce spoczynku zmarłych Parsów. Poświęcony ten okrąg surowo jest zamknięty dla obcych, rzadko tylko uda się jakiemu Europejczykowi wstęp doń uzyskać. Krzewy obsypane kwiatami, cyprysy, palmy i inne drzewa tropikowe przy najtroskliwszej staranności dozorców czynią te miejsca ideałem cichego, uświęconego czcią ogólną spoczynku. Po nad „wieżami milczenia“ wznoszą się trzy „sagrisy“ czyli domy modlitwy, a w największym z nich płonie ogień święty, który gdy go raz zapalą i poświęcą, już nigdy nie gaśnie, ale wciąż nowy otrzymuje zasiłek dniem i nocą, z kadzideł i wonnego sandałowego drzewa. Z terasy domu modlitwy rozwija się najcudniejszy widok w świecie. Owe „wieże milczenia“ których jest pięć, zaledwie zasługują na nazwisko wież. Są to masywne budynki z czarnego granitu, zdolne przetrzymać wieki, opasane murem z białej odmiany tegoż samego kamienia. Najwyższa z tych wież ma zaledwie 25 stóp wysokości a w przecięciu 40. Najstarsza powstała przed 200 laty w epoce osiedlenia się Parsów w Bombaju. Do połowy swej wysokości wieże te są jednolitej budowy i tworzą 12—14 stóp wysoki cylinder. W środku ich zaś znajduje się otwór na sześć stóp szeroki. Prowadzi on do rodzaju piwnicy, znajdującej się pod budowlą, z której wychodzą cztery rowy odpływowe, z otworami napełnionemi węglem drzewnym. W około zaś owego otworu środkowego wieży stoi w trzech rzędach 72 jakoby wielkich a płytkich naczyń z granitu, opatrzonych rynnami zbiegającemi się przy głównym otworze. W te naczynia składają Parsowie zwłoki swoich zmarłych. Oprócz służby pogrzebowej nikt tego tajemniczego obrębu nie może przestąpić, nikt nie ma prawa do wież się zbliżyć. Jakeśmy już wspomnieli, każdą wieżę otacza mur z białego granitu. Na tym murze, nieruchomo jakoby z kamienia wyciosany, wisi wieniec żarłocznych sępów, ze łbami zwróconemi w stronę owych naczyń. Wtem zbliża się pogrzeb. Krewni postępują za żałobnikami, a zbliżywszy się, na 30 kroków do „wież“ zatrzymują się, opuszczają zwłoki i wchodzą do świątyni na modlitwę. Tymczasem tragarze składają ciało wedle wieku i rodu w jednem z naczyń znajdujących się przy otworze i śpiesznie cofają się, zabierając nosze i całun. Wśród tego niezamącona nieruchomość sępów już się zmieniła we wściekły niepokój. A gdy tragarze znikli, ze wszystkich stron, ze wszystkich drzew i wież zlatują się drapieżniki, i nie czekając na wyjście żałobnego orszaku rzuca się całe stado na pozostawione zwłoki. Niedługa chwila — i nasycona banda wraca do miejsc swoich dawnych, do poprzedniego apatycznego spokoju. Z umarłego został już tylko szkielet. W parę tygodni potem wrzucają szkielet w otwór główny wieży, kędy proch jego miesza się z prochami zniknionych już pokoleń.

— We wszystkich prawie wojskach europejskich oficerowie wysłużeni poczytują sobie za zaszczyt pozwolenie noszenie munduru. W Anglji przeciwnie, noszenie munduru po za służbą jest upokarzającem. Różnica ta zapatrywań wynika z charakteru narodowego i z poczucia niezawisłości. Człowiek po cywilnemu ubrany jest wolny, w mundurze zaś czuje się być w służbie. Z tej samej przyczyny daleko drożej trzeba tam płacić lokaja obowiązanego nosić liberję, niż chodzącego w zwykłej odzieży cywilnej. Mundur nie daje też żadnego przywileju. Niedawno książę Cambridge wymierzył karę dyscyplinarną na oficera, nakazując mu nosić mundur przez cały rok po za służbą.

— Najznaczniejsze dzienniki chińskie wychodzą w miastach portowych. W Szanghai np. wychodzi redagowany w duchu cywilizacji zachodniej „Szuanpao,“ którego właścicielem jest pewien Anglik; nakład tego dziennika wynosi 5.000 egzemplarzy. Dalej pismo lokalne „Sih-pao“ w 1.700 egzemplarzach i tygodnik treści naukowej i religijnej wydawany przez pewnego misjonarza angielskiego „Wankwohkungpao“ w 300 egzemplarzach. W Kantonie, Makao i Swatowie nie wychodzi ani jeden dziennik. Natomiast w Hongkongu wychodzą „Huatszepao (Kurjer chiński), będący chińskiem wydaniem angielskiego dziennika „China Mail,“ ale redagowany przez rodowitego Chińczyka, i energicznie broniący interesów chińskich; dalej „Hungwai-siu-pao (Wiadomości z Chin i z Europy) w podobnymże duchu redagowany przez nakładcę dziennika „Daily Press“ a zawierający przeważnie rozmaitości z życia potocznego; a wreszcie „H'nan-jih-pas,“ redagowany przez Chińczyka nazwiskiem Hong-Czun, który przyjął chrześcijaństwo i ma głośne imię w spółczesnej literaturze chińskiej, jako autor kilku dzieł o ostatniej wojnie niemiecko-francuskiej. Hung-Czun, mimo że chrześcijanin, nie przestał być dobrym Chińczykiem i z zapałem broni interesów swej ojczyzny. Portugalczyk Noronha wydaje w Hongkongu brukowe pisemko chińskie „Chinpien-lu“, które jednak nie ma wziętości.

Odpowiedzi Redakcji.

K. U. w P. poczta Ch. Powodem nieporozumienia było imię nie nazwisko. Wszystko załatwione.

E. M. Gorlice. Dzieła Jeża tam można prenumerować gdzie i Tydzień. Portret autora będzie dołączony do tomu II. Dzieła Pola prenumeratorowie „Tygodnia“ otrzymują zawsze taniej, gdyż za tom płacą zamiast 3 tylko 2 złr. Tom IV wyjdzie za kilka dni.

Treść Nr. 6.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).